

DEKADA Literacka

Rozmowy: z Ritą Tornborg i Peterem Curmanem ■ Poezja Edith Södergran w przekładach Leonarda Neugera
Maciej Zaręba: Inicjacja ■ Ellen Sofia Wester: Mickiewiczowskie święto ■ Galeria „Dekady”: Maria M. Hordyj

Ptak proroczy zwiastuje nadejście wiosny.
Bracia i siostry, śpiewa, nadchodzi, jest w drodze, wierzajcie mi. Jego
radosne zwiastowanie słysząc poprzez wycie wiatru, poprzez kurtynę cien-
kich jak koniuszek igły płatków śniegu lecących poziomo wzdłuż chodnika.
Mężczyzna mówi do Beaty: gdzie mieszkasz? Mogę cię podrzucić do domu.

Autem?

Jasne.

Nie lubię aut. Zresztą. Do mnie nie da się dojechać autem.

Chyba się da.

W takim razie nie trzeba. Metro staje praktycznie rzecz biorąc przed bramą,
autobus jeszcze bliżej. A w środkach komunikacji spotkać można nawiedzone
towarzystwo, tłok, zamieszanie, potwory, rytm miasta.

Aaa, to ty jesteś z tych tam bojowniczek o naturalne środowisko?

Nie, wcale, nie mam tego typu moralności, zapytaj Burmana. Burman, czy ja
mam tego typu moralność?

Nie, nie masz, potwierdza Burman groźnie.

Mężczyzna nie słucha. Przestał słuchać, co mówią inni, jeśli to nie ma nic

*Każde pokolenie ma swój kraj, do któ-
rego rade by się udać — rzeczywiście
lub w marzeniu. Takim krajem dla poko-
lenia powojennego była Ameryka. Stamtąd
pochodziły kolorowe skarpetki, nylo-
nowe bluzki pieniące się od koronek,
błękitne dżinsy i dolary, których posiada-
nie najpierw groziło śmiercią, później sta-
ło się warunkiem uzyskania wszelkich
nieodstępnych inaczej dóbr; stamtąd po-
chodziły także książki czytane wówczas z
zapartym tchem: Hemingway, Faulkner.
Ale gdy na początku lat osiemdziesią-
tych wyjeżdżałam do Stanów, dzieci mo-
ich przyjaciół przyjmowały to bez entu-
zjizmu. Krajem ich marzenia była Szwec-
cja. Starsi myśleli o niej jako o ulepszonej
Ameryce: schludnej, bliżej położonej,
bez gangsterów, bez problemu murzyn-*

*skiego, bez strachu przed chorobą, co
zrujnuje rodzinę. Do tej Szwecji uciekali
bracia Zielińscy (późniejsi bohaterowie
filmu „Trzysta mil do nieba”), ona stała się
przybraną ojczyzną wielu naszych przy-
jaciół i znajomych. Z biegiem czasu nie-
którzy z nich ustanowili sobą nieoficjalne
instytucje polsko-szwedzkiej wymiany
kulturalnej. Takim właśnie człowiekiem-
instytucją jest Leonard Neuger, dziś pra-
cownik Uniwersytetu Sztokholmskiego i
tłumacz literatury szwedzkiej na język
polski. Dzięki niemu mógł się zrealizować
pomysł polsko-szwedzkiej „Dekady”,
którą oddajemy właśnie do rąk Czyteln-
ików, licząc, że spotkanie ze Szwecją lite-
racką okaże się miłe i pożyteczne.*

TERESA WALAS

Rita Tornborg

Beata i sztokholmczyk

wspólnego z biznesem. No i niewiele słów usłyszał od innych, odkąd ukończył
osiem lat.

Ruszamy?

Autem?

Jasne, że autem.

Ja nie lubię aut.

Czemu?

Jako symbol auto jest zbyt oczywiste, jako ułatwienie zbyt nachalne.

No proszę, mówi mężczyzna, no proszę. W ten sposób, to co, pojedziemy?

Dziewczyna, którą zamierza poderwać albo podrzucić do domu, jest chuda,
nie umalowana, kiepsko ubrana. To nie jest naturalne, myśli, bardzo młoda
dziewczyna nie powinna być tylko praktyczna. Decha? Nie, wie, że to nie tak,
ponieważ budzi jego zainteresowanie seksualne. A to wystarczy za dowód jej
kobiecości. Jego instynkt, jak sądzi, jest bezbłędny. Nawet najpiękniejsza lesbijka
nie ma co u niego szukać, po prostu istnieje naturalna bariera. Wygląda na
biedną. Studentka z kłopotami materialnymi? Ma ochotę trochę ją zerwać,
mianowicie zaprosić do knajpy i nakupić jej ładnych ciuszków, nauczyć używa-
nia makijażu. Chce ją zobaczyć jako autentyczną dziewczynę. Autentyczne
dziewczyny szminkują się, ma się rozumieć z umiarem, mają loki, patrzą na
człowieka okiem przyczernionym otówkiem i tuszem. I seksem. Rzeczy Beaty są
sympatycznie długie, ale złotoryzawe. On chce je widzieć aksamitnie czarne.
Okno dziewczyny ma obramować smolista czerń.

Skąd miałby wiedzieć, że spojrzenia Beaty wycierają spod powiek, sklepionych
w taki sam sposób jak Hélène Fourment, niewinnej piękności, że ona jest też
boleśnie czysta jak rosa, też bezbronna wobec wiedzy ciała, wiedzy o nieuchron-
nym rozkładzie? Beata ma bardzo jasną karnację, jest nieco pyskata i naiwniut-
ka. Czy nie jest właściwie dosyć szpetna? Czy nie powinna się cieszyć i okazać
wdzięczność, że facet taki jak on chce ją podrzucić do domu? Tymczasem ona
robi wrażenie roztrzępanej i samowystarczającej. A może ona jest ciut-ciut, hm,
głupia? czy raczej cofnięta? Uśmiecha się tak pusto i zdawkowo. On lubi dziew-
czyny przy kości i gęsiołate. Dajcie mi wesolutką gęś, byle jaką, zwierza się
znajomym, te intelektualistki, to one nie są autentyczne kobiety, i dobrze o tym
wiedzą.

Beata skrupulatnie żegna się z Burmanem. Nie jeden, tylko wiele razy. Chwyta
go za rękę, zamyka jego wielką dłoń w swoich małych dłoniach, kilka razy
zawraca od drzwi, by jeszcze raz uściśnąć mu rękę. Handlarz antykami pozwala
na to z poważną miną. Wie o dziewczynie coś, czego ten mężczyzna nie może
wiedzieć, dlatego surowo patrzy na swego klienta, surowo, badawczo i z anty-
patią. Zaciska wargi ze złością. Mężczyzna nie przejmuje się tymi humorami
dziadeczką. Przestał się przejmować innymi w tym samym czasie, kiedy przestał
ich słuchać. A powinien był przyjąć to wielkie przedstawienie pożegnalne dziew-
czyny jako ostrzeżenie. Powinien być mieć się przed nią na baczności. Właściwie
powinien był usiąść za kierownicą swego kremowego alfa romeo i odjechać
stamtąd w pojedynkę, z dobrze zachowanym poczuciem wartości własnego ja.

Beata kładzie dłoń starego na swym ciemieniu, dyga głęboko z wyprostowa-
nym tułowiem i nareszcie przedstawienie uznaje za skończone. Dzwonek u drzwi



Rys. Grażyna Borowik

Szwecja i kultura

Szwedzka polityka kulturalna opiera się na rozsądnym rozłożeniu odpowiedzialności: odpowiedzialność za sprawy polityczne (cele, doradztwo, finanse) bierze na siebie rząd i parlament; za sprawy artystyczne odpowiadają instytucje kulturalne. W Szwecji działa Narodowa Rada ds. Kultury (Statens kulturrad) wspomagana przez Wydział Państwowych Zabytków i Muzeów (Riksanstikvarieambetet och statens historiska museer), Państwowe Archiwum (Riksarkivet) oraz Szwedzki Instytut Filmowy (Filminstitutet). Ten ostatni, choć odpowiedzialny za szwedzką politykę filmową, jest niezależną fundacją. Lokalne władze powołują komitety ds. kultury, podobnie jak to robią rady okręgowe, i choć ich posunięcia mogą się różnić od polityki kulturalnej rad miejskich, współpracują one ze sobą na wszystkich szczeblach: państwowym, lokalnym i regionalnym.

Taki kształt otrzymała polityka kulturalna Szwecji w latach 70-tych. W roku 1974 parlament przyjął program, uwzględniający przede wszystkim wolność ekspresji, zasadę decentralizacji oraz powszechne prawo do udziału w kulturze bez względu na miejsce zamieszkania i warunki społeczne.

Kultura w Szwecji jest sprywatyzowana. Wytwarza ją, rozprowadza i finansuje sektor prywatny. Rola państwa ogranicza się do zagwarantowania różnorodności i wysokiej jakości jej „produktów”. Ono także wspomaga rynek za pomocą subwencji.

W Szwecji wydaje się rocznie ok. 9000 książek, w tym ok. 4000 nowych tytułów, z których mniej więcej 800 jest finansowanych przez państwo. Subsidia przeznaczone są dla utworów niekomercyjnych: poezji, esesjistyki; nie są one wypłacane, dopóki dana książka nie znajdzie się w sprzedaży. Wspomagana jest też dystrybucja i sprzedaż detaliczna.

35-40% książek rozprowadzają księgarnie, ok. 30% — kluby książek, resztę

kioski, sklepy wielobranżowe i inne placówki handlowe.

W każdym ośrodku miejskim znajduje się sieć bezpłatnych bibliotek, które spełniają również funkcję małych centrów kulturalnych (odbywają się tam koncerty, występy teatrów, wykłady, prezentowane są wystawy). Do regionów słabiej zaludnionych docierają biblioteki objazdowe.

Mając świadomość ekspansji massmediów i „przemysłu kulturalnego”, które zmieniają przyzwyczajenia odbiorców i sam model kultury, szwedzkie instytucje kulturalne starają się stworzyć alternatywną sposobność obcowania z dobrą sztuką popularną. Państwowe teatry wystawiają music-halle, rewie, komedie, operetki; poważne instytucje nie wstydzą się muzyki pop.

Jak wygląda bilans dwóch ostatnich dekad, gdy chodzi o sprawy kultury? Coraz więcej osób chodzi na koncerty; przeważają wśród nich ludzie młodzi; tacy też, młodzi, są twórcy tej muzyki. Muzyka tradycyjna przyciąga także — jak zawsze — starszą publiczność.

Wzrosło czytelnictwo. Mniej niż potowa mieszkańców rzadko odwiedza biblioteki lub nigdy w nich nie była. (1/4 Szwedów odpowiada, że nie czyta książek lub prawie ich nie czyta).

Coraz częściej odwiedza się muzea. Czas poświęcony massmediom wynosi prawie 6 godzin dziennie.

Video umocniło swoją pozycję jako nowe medium — posiada je ponad połowa odbiorców kultury.

Ale: od połowy lat siedemdziesiątych zmniejsza się widownia teatrów publicznych pomimo wzrostu liczby przedstawień.

Na podstawie informacji Instytutu Szwedzkiego: „Cultural Life and Cultural Policy” (1991).

Przygotowała AGNIESZKA JODLIŃSKA

Noty o współautorach

ANDERS BODEGÅRD — tłumacz literatury polskiej i francuskiej na język szwedzki. Wydał w swoim tłumaczeniu m.in. wiersze i eseje Adama Zagajewskiego, wiersze Wisławy Szymborskiej, eseje Adama Michnika, *Onych Torańskiej*, *Drogę nadziei* Lecha Wałęsy. Przetłumaczył i opublikował też *Dzienniki Gombrowicza* — t. I i II (tom III w przygotowaniu).

JANUSZ KOREK — historyk literatury, tłumacz i dziennikarz. Od roku 1983 zamieszkały w Sztokholmie. Współpracownik Sławiści Uniwersytetu Sztokholmskiego i Radia szwedzkiego. W Polsce szef jednego z większych wydawnictw podziemnych „Oficyna Nieobecnych” (Katowice). Współpracuje z wieloma czasopismami polskimi i zagranicznymi. Redaktor i tłumacz wierszy szwedzkiego poety Brunona K. Ojlera *Gdy truciźna działa*

(Wydawnictwo MMF, 1933). Przygotowuje książkę o „Kulturze” Jerzego Giedroycia.

LEONARD NEUGER — historyk literatury, krytyk, tłumacz, poeta. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego. W stanie wojennym przez wiele miesięcy internowany. Dziś pracownik naukowy Uniwersytetu w Sztokholmie. Tłumaczył poezję Bellmana, Stagneliusa, Tranströmera. Ostatnio także prozę: *Imieniny Salomona* Rity Tornborg.

KATARZYNA SŁAWSKA — w latach 1982-1988 pracownik Biura Informacyjnego „S” w Sztokholmie. Współpracownik Radia Szwedzkiego. Mieszka w Sztokholmie od r. 1981.

MACIEJ ZAREMBA — znany dziennikarz szwedzki, redaktor „Trzeciej strony” w „Dagens Nyheter”, największym dzienniku Szwecji. Tłumacz (wraz z Anną Pleijel) *Raportu z oblężonego miasta* Herberta.

Warszawa, 1 III 1993 r.

Uprzejmie proszę o sprostowanie błędu drukarskiego, który pojawił się w moim tekście „Filologia klasyczna a prawdy żywe” (w nr 4 pisma), zmieniając zasadniczo sens moich uwag. Wydrukowano: „Czy jest to motyw chrześcijański, czy raczej antyczny u tego romantyka z gruntownym wykształceniem filologa klasycznego?” Powinno być: „Czy jest to motyw chrześcijański, czy razem antyczny u tego romantyka z gruntownym wykształceniem filologa klasycznego?”

Do drukarza pretensji nie mam, bo nie jest obowiązany mieć w uszach Norwida, ale kto robi korektę?

Łączę wyrazy poważania
DANUTA DANEK

Redakcja „Dekady Literackiej” dziękuje Szwedzkiemu Instytutowi (Svenska Institutet) za wsparcie finansowe przy wydaniu numeru 8

Związek Pisarzy Szwedzkich obchodzi w tym roku setną rocznicę swojego istnienia. Na czym według Pana polegała rola tej organizacji i jakie miała znaczenie?

Związek Pisarzy Szwedzkich składał się na początku z czterech niezależnych stowarzyszeń. Pierwsze z nich i najstarsze założone zostało w 1893 roku z inicjatywy Wenera von Heidenstama, jednego z naszych największych poetów narodowych. Zrzeszało ono autorów literatury pięknej. Wkrótce potem powstała organizacja tłumaczy, następnie autorów książek dla dzieci i młodzieży, oraz stowarzyszenie pod nazwą „Minerwa”, zrzeszające autorów książek naukowych. W 1970 roku wszystkie te cztery stowarzyszenia zjednoczyły się w jednej wspólnej organizacji, a dawny podział odpowiada dziś czterem sekcjom w Związku Pisarzy Szwedzkich.

Od samego początku Związek Pisarzy Szwedzkich był instytucją ukierunkowaną na działalność związkową. W Szwecji funkcjonowało wiele innych stowarzyszeń literackich, ich członków łączyła nie tylko ta sama profesja, ale i wspólnota zainteresowań. Na zebra-

jemy się m.in. prawami pisarzy tureckich. Kiedy zapadł wyrok śmierci na Salmana Rushdiego, zorganizowaliśmy kampanię protestacyjną przeciw obłudnej polityce rządu irańskiego.

Od początku 1982 roku pracowałem w sztokholmskim biurze „Solidarności”. Pamiętam zainteresowanie Szwedzkiego Związku Pisarzy losem internowanych polskich pisarzy.

Jaka jest sytuacja pisarzy lepiej i gorzej się sprzedających? Czy pisarze w Szwecji uzyskują jakąś pomoc ekonomiczną?

W Szwecji, podobnie jak w wielu innych krajach, niewielu właściwie pisarzy może się utrzymać wyłącznie z własnej twórczości.

Większość autorów musi pracować dodatkowo. Często z piarstwem łączą się pokrewne zajęcia: pisanie recenzji, omawianie nowości wydawniczych w programach radiowych i telewizyjnych, spotkania autorskie. Czasami pisarza ratuje małżeństwo z osobą posiadającą jakieś intratne zajęcie. Pisarzom pozbawionym finansowego wsparcia utrzymanie się ułatwia pomoc pieniężna, jaką uzyskują z finansowanej po części przez państwo

Stuletnia

niach czytało się wiersze, rozma- wiało o sztuce. Związek Pisarzy Szwedzkich nigdy nie działał na takich zasadach. Od momentu powstania określił się jako stowarzyszenie reprezentujące interesy zawodowe członków-pisarzy. W jednym z paragrafów statutu mówi się nawet wyraźnie o tym, że na spotkaniach związkowych nie wolno odczytywać głośno własnych utworów. Za cel najistotniejszy (motywujący istnienie związku) uznano obronę praw materialnych pisarzy: negocjowanie umów między pisarzami i firmami wydawniczymi, radiem i telewizją oraz filmem. Bardzo istotne było także to, by pisarze mogli otrzymywać rekompensatę za wykorzystywanie ich książek przez biblioteki publiczne.

Z czasem w naszej działalności pojawiły się inne zadania. Przede wszystkim **konsekwentna obrona wolności słowa**, czyli całkowitej swobody dyskusji i głoszenia własnych poglądów.

Tę zasadę odnosimy nie tylko do pisarzy szwedzkich, stosujemy ją także w naszych kontaktach międzynarodowych. I tak na przykład wspólnie z PEN-Clubem broniliśmy autorów zagranicznych, którzy w swoim kraju znaleźli się w sytuacji konfliktowej. Na przykład po aresztowaniu Vaclava Havla uczestniczyliśmy w jego procesie w Pradze. Gdy został wreszcie zwolniony, przyjechał do Sztokholmu, aby wyrazić nam wdzięczność. Dziś zajmu-

Fundacji Pisarzy. W zarządzie Fundacji zasiadają przedstawiciele środowiska pisarzy i administracji państwowej, którzy wspólnie rozdzielają środki napływające z książek wypożyczanych w bibliotekach publicznych.

W Szwecji funkcjonuje sprawna sieć bibliotek. Co roku w 2000 bibliotek publicznych i szkolnych wypożycza się około 100 milionów książek. Według systemu wprowadzonego w 1954 roku za każdą wypożyczoną książkę państwo z pieniędzy podatników płaci 83 öre. Z tego 60% (50 öre) przekazuje się autorowi, a pozostałe 40% zasila Fundację Pisarzy. Nie są to jakieś ogromne pieniądze, ale wystarczające, żeby przydzielać stypendia autorom książek na wysokim poziomie artystycznym. Autorzy mogą się starać o stypendia roczne, dwuletnie i pięcioletnie. Najbardziej atrakcyjną formą finansowania autorów jest stypendium odpowiadające mniej więcej połowie przeciętnej pensji i wynoszące około 103 tysiące koron rocznie. Podlega ono opodatkowaniu. Stypendysta otrzymuje je do momentu osiągnięcia wieku emerytalnego. Takim stypendium uszczęśliwiono 235 autorów. Do grona tych wybrańców należy między innymi wybitny tłumacz literatury polskiej Anders Bodegard. Ze stypendium nie można się utrzymać, ale jest to znacząca pomoc.

Ilu pisarzy zrzesza Związek Pisarzy Szwedzkich?

Wszystkie cztery sekcje związku mają około 2000 członków, z czego 10% stanowią pisarze emigracyjni. Nie wymaga się od nich obywatelstwa szwedzkiego, wystarczające jest posiadanie prawa stałego pobytu w Szwecji. Pisarze emigracyjni mogą pisać wyłącznie w swoim ojczystym języku. Wśród naszych członków mamy na przykład około pięćdziesięciu pisarzy kurdyjskich. Mówi się żartobliwie, że Związek Pisarzy Szwedzkich jest największym związkiem pisarzy kurdyjskich. Nie brakuje też pisarzy polskich, nie potrafię podać dokładnej liczby, ale jest ich około dziesięciu.

W Polsce pisarz bywał sumieniem narodu. Jakie natomiast role społeczne przypisuje się pisarzom w Szwecji?

Osobliwością wielkich zmian, jakie zaszły we wschodniej części Europy, jest to, że wielu pisarzy zostało nagle ambasadorami lub politykami zajmującymi w swoich krajach wysokie stanowiska. Moim zdaniem to przejście pisarzy do służby dyplomatycznej i administracji stanowi wielkie zagrożenie dla literatury. Vaclav Havel jest najlepszym przy-

czy nas przynależność do tej samej grupy zawodowej, ochrona naszych zabezpieczeń materialnych, a także respektowanie zasady o wolności przekonań i prawa ich głoszenia, bez względu na zabarwienie czy opcję polityczną.

Czy może nam Pan powiedzieć jakie szanse mają w Szwecji debiutanci?

W Szwecji funkcjonuje wiele firm wydawniczych, a literaturę piękną wspomagają subwencje, co ułatwia druk dzieł o wysokim poziomie artystycznym. Zajmuje się tym Rada Kultury, która przydziela na ten cel środki. Mimo tego wspomagającego systemu, rynek wydawniczy jest dżunglą. Sądzę jednak, że większość manuskryptów wartościowych znajduje w Szwecji wydawcę, a autorzy nie czekają zbyt długo na debiut. Problem tkwi w czymś innym. Szwedzki rynek książkowy jest bardzo trudny, często nawet bardzo dobre książki nie trafiają do księgarń. Wydawnictwa konkurują o miejsce dla swoich książek w witrynach księgarskich, jest to bowiem regulowane umowami między księgarniami a wydawcami. Uważam tę sytuację za niezdrową. Ceny książek narzuca rynek, w od-



Fot. Georg Sessler

z Peterem Curmanem
przewodniczącym
Związku Pisarzy Szwedzkich
rozmawia Katarzyna Sławska

obecność

kładem tej ucieczki od pióra. Ale także Blaga Dimitrova z Bułgarii, która jest obecnie wiceprezydentem. Árpád Göncz, były przewodniczący związku pisarzy na Węgrzech, także został prezydentem. Na ich wybór wpłynęło zapewne to, że nie byli skorumpowani przez system komunistyczny, nie dając się wciągnąć w ten dość bagnisty układ. Nic więc dziwnego, że kiedy nastąpiły zmiany społeczno-polityczne, ludzie obdarzyli ich swoim zaufaniem. W Szwecji pisarz jest raczej zwykłym człowiekiem, nie jakimś sumieniem czy głosem narodu. Z tym prestiżem społecznym w waszych krajach może być jeszcze różnie. Należy pamiętać, że wielu polskich pisarzy należało do establishmentu, popierało elitę władzy, było tubą propagandową politycznego systemu w Europie Wschodniej. My w Szwecji byliśmy zawsze ostrożni pod tym względem i sygnalizowaliśmy naszą integralność, niezależność, suwerenność pisarza wobec władzy państwowej.

Generalnie można powiedzieć, że Związek Pisarzy jest wolny od wpływów partii politycznych, pisarze nie są zobligowani do okazywania lojalności wobec kogokolwiek. Wśród naszych członków mamy pisarzy o rozmaitych przekonaniach politycznych, ale wszyscy razem jesteśmy związkiem zawodowym, a nie politycznym. I tylko to nas łączy, nie zaś jakieś wspólne idee. Jedno-

różnieniu od większości krajów europejskich, gdzie ceny są stałe, co wpływa na zwiększenie szansy dotarcia książki do czytelników. Wolne ceny na książki oznaczają faworyzowanie najlepiej sprzedających się tytułów po najniższej cenie. W tej bezwzględnej konkurencji słabsze książki wypierają wartościowszą literaturę piękną. Ten sam tytuł książkowy można kupić taniej przez sieć dystrybucyjną klubów książkowych. Jakość literacką zabija na szwedzkim rynku księgarskim konkurencja; nasz związek próbuje temu przeciwdziałać.

Ile lat trwa kadencja przewodniczącego? Od kiedy piastuje Pan ten urząd i co uważa Pan za swoje największe osiągnięcia?

Na pierwsze pytanie łatwo odpowiedzieć. Nasz statut określa czas trwania kadencji. Trwa ona rok. Ja, wybierany przez zarząd co roku, zgodziłem się sprawować tę funkcję siódmy rok i nie dam się namówić na dłużej. Przy tego rodzaju działalności niewiele czasu pozostaje mi na własną pracę twórczą.

A jeśli chodzi o moje sukcesy. Działalem w ciekawych czasach i w ciągu mojej kadencji wydarzyło się na świecie mnóstwo ważnych rzeczy: wschodnioeuropejska rewolucja, wyzwolenie się od Związku Sowieckiego i upadek skorumpowanych dyktatur, wreszcie eksplozja satelitarnych środków przekazu. W związku z tymi ogromnymi prze-

mianami rynek książkowy jest inny, a pisarz musi sprostać wyzwaniu. Możemy teraz nawiązywać kontakty, które wcześniej były utrudnione.

Odradza się obecnie poczucie wspólnoty krajów nadbałtyckich, czego zwiastunem był rejs statkiem „Konstantin Simonow”, w którym uczestniczyło 300 pisarzy z państw otaczających Bałtyk. Po spotkaniu postanowiliśmy utworzyć centrum pisarzy i tłumaczy na Gotlandii. Myślę, że to nasz duży wspólny sukces. Uroczyste otwarcie centrum, które uświetni swoją obecnością król i królowa, odbędzie się w kwietniu i zostanie połączone z obchodami stulecia naszego związku.

Jest Pan także zaangażowany w akcję ratowania bibliotek publicznych, którym obcina się dotacje.

Czynię to z oczywistych względów. 25% gmin szwedzkich nie ma księgarń. Książki docierają więc do czytelników głównie przez biblioteki. Są one niewątpliwie najważniejszym dystrybutorem. W takiej sytuacji istotne jest, aby wypożyczanie książek pozostało nadal bezpłatne. Dostęp do informacji powinien być

bezpłatny. Toczy się teraz w Szwecji batalia o zachowanie bezpłatnego wypożyczania książek. W jednej z dzielnic Sztokholmu, w Sollentunie, próbowano pobierać opłaty od wypożyczanych książek. Spotkało się to z silnymi protestami, także ze strony środowiska pisarzy. Uczestniczyli w nich między innymi Astrid Lindgren. Zawiadomiłem o tym moich przyjaciół-pisarzy z krajów nadbałtyckich. Spotkało się to z solidarnym odzewem. Nasz protest poparli wszyscy, także pisarze z Polski.

Lokalni politycy w Sollentunie nie chcieli wierzyć własnym oczom, kiedy przeczytali list sygnowany przez pisarzy polskich. Wyrażają oni zaniepokojenie, że w chwili, gdy w Polsce wywalczone prawo do swobodnej, nieocenzurowanej informacji, w Szwecji wprowadza się opłaty za jej dostępność (tak bowiem należy rozumieć odpłatność korzystania z książki).

Jak więc widać możemy się wzajemnie wspierać i wspólnie bronić naszych interesów.

Dziękuję za rozmowę.

Po raz pierwszy zatrudniony byłem w Szwecji w klinice psychiatrycznej, gdzie przebywali głównie ludzie, których podstawowym schorzeniem była starość. Potrzebowali pomocy we wszystkim, od karmienia po toaletę. Ktoś taki jak ja, na zastępstwie, miał trzy zadania: posprzątać pokoje, nakarmić pacjentów i zająć się ich toaletą. Chciałbym dodać, że na tym oddziale nie zdarzało się już nic innego, prócz podawania leków, które miało miejsce w związku z posiłkami.

Lunch zjawiał się na ogół o godzinie dwunastej. Już na kilka minut przed tym wzrastało podenerwowanie wśród personelu. Niektórzy chodzili tam i z powrotem po korytarzu, inni z uwagą nasłuchiwali przy drzwiach, zegarki i zegary ścienne śledzono z napiętą uwagą. Wjazd wózków na oddział wywoływał taki sam efekt, jak alarm pożarowy na pokładzie statku. Głośne pokrzykiwa-

ów racjonalny i, z punktu widzenia efektywności, skuteczny porządek miał także inne konsekwencje. Kiedy przyszło mi pracować nocą uczestniczyłem w rannej toalecie. Kobiety rozbierano do naga i przytwardzano do zaopatrzonych w kółka krzesła toaletowych, które pozbawione były dna. Za pomocą tego praktycznego urządzenia wieszono je potem do dużej łazienki, ustawiano w rzędach przy ścianie, gdzie jakiś młody człowiek splukiwał je szlaufem gumowym, podczas gdy inny pielęgniarz namydlał je w dostępnych miejscach. Zdarzało się, że w czasie mycia co żywo pacjenci płakali, albo wzywały pomocy, gdyż temperatura wody nie zawsze była odpowiednia. W tej wykafełkowanej łazience natężenie głosu mogło być przykre, lecz celne uderzenie zwiniętym ręcznikiem na ogół wystarczało, by krzyk przeszedł w nieco znośniejsze zawodzenie.

sowych pracowników przewijało się przez klinikę, zatem było to znane, akceptowane, wchodziło w niszę normalności.

Tego lata ponad dwadzieścia lat temu, byłem chyba kimś, kogo określa się mianem „zropanzonego”. Moja wizja świata uległa zachwianiu i nie wiedziałem, co z tym zrobić i jak to wyjaśnić. Nie miało to związku z moją niewinnością czy nierealistycznymi wyobrażeniami na temat człowieka. Dwa lata wcześniej widziałem, jak trzech milicjantów kopie w brzuch kobietę w ciąży. Ale to było w innym kraju, milicjanci służyli totalitarnemu imperium, a moją reakcją dzieliłem ze wszystkimi, których znałem, ohyda była ohydą. Lecz tutaj to co ohydne było czymś innym i najwyraźniej relatywnym, gdyż znajomi, których miałem za normalnych i których dusze przepętnione były równością i solidarnością, po usłyszeniu mojej opowieści nie rzucali się do telefonu, by zadzwonić do znajomego prokuratora, czy dyrektora kliniki. Powtarzali „coś takiego” tym szczególnym tonem, który oznacza: „jesteś miłym człowiekiem, choć tak się ekscytujesz”. Niekiedy mówili coś z troską na temat kształcenia personelu. A następnie zmieniali temat.

Ale rozpacz nie można długo znosić i ulgi szukałem w pogardzie. Pogarda jest chyba grzechem i jest spokrewniona z pychą, lecz posiada, mam nadzieję, jak wiele innych grzechów, niepewne wsparcie w cnocie. Żeby czymś lub kimś gardzić, musi istnieć coś, lub ktoś, kogo się poważa. Zaczęłem gardzić moimi towarzyszami pracy. Lecz cóż cenilem? Wyidealizowany obraz samarytanina i pielęgniarza, ma się rozumieć. Prawdę mówiąc nie wiedziałem wtedy — ledwo ukończonych 19 lat — jaka naprawdę była polska służba zdrowia. Ale wiedziałem, jaka być powinna, o tym mówił mi ojciec. Znał, jak większość lekarzy jego pokolenia, przysięgę Hipokratesa na pamięć, złożył ją przy egzaminie końcowym w Dorpacie w roku 1916.

Co jeszcze? Pewnie odczuwałem swego rodzaju szacunek dla starości, a nawet dla wariata, kaleki i potworka. Było ich wielu na naszej ulicy: ludzi bez nóg, bez rąk, z na pół odstrzelonymi twarzami, lecz także takich, którzy zdawali się nawiedzeni przez wewnętrzny mrok i których zachowania były niezrozumiałe i napawały strachem. Lecz gdy kiedyś my, dzieci, drażniłyśmy się z nimi, moi rodzice wpadli w gniew, a wzrok mego ojca wypełniony był — właśnie pogardą. Było to straszne, lecz jakoś zrozumiałe, gdyż wstydzilem się już z własnej inicjatywy, co oznaczało, że sam wiedziałem, że „tak się z ludźmi nie postępuje”. Sumienie dane człowiekowi przez Stwórcę? A może po prostu funkcja naszej zdolności do identyfikowania się z innymi. Albo też nieświadomiony wniosek z kultury na co dzień i z lektury, która mówiła, że to co godne podziwu, jest zawsze trudne. Dręczenie bezbronnych i słabych było łatwe, natomiast trudno było od tego odstąpić, stanąć poza wspólnotą, nie postępować tak jak starsi i budzący zażość chłopcy.

A więc zachowałem się niegodnie. Oto co do mnie mówił wzrok ojca. Zupewnie możliwe, że akurat tego słowa użył: niegodnie.

Zatem byłem niegodny. Niegodny — czego, niegodny — kogo? Zhańbiłem dobre imię rodziny? Na pewno. Lecz jeszcze bliżej leżała interpretacja, że moje przestępstwo było niegodne mnie samego, i tak chyba rozumiałem jego słowa.

Myślę, że tak właśnie to przebiegało. Po raz pierwszy usłyszałem słowo „godność” wypowiedziane z wielką powagą, kiedy dotyczyło ono mojej własnej godności i kiedy ja sam ją naruszyłem. Mój ojciec powoływał się właściwie nie na respekt wobec drugiego, apelował do mego autorespektu. Zatem ja sam miałem godność, poziom, styl, do których teraz nie dorosłem, od których odstąpiłem, które zdradziłem.

O poezji Edith Södergran

Urodziła się w 1892 roku, zmarła w 1923; wydała za życia *Wiersze* (1916), *Lirę wrześnieńską* (1918), *Ottar różany* (1919), *Cień przyszłości* (1920). Pośmiertnie wyszedł jej tomik *Kraj, którego nie ma* (1925). Pisała też aforyzmy.

Edith Södergran to kusząca biografia, więcej, to biografia-mit, biografia-znak kulturowy. Opisać to życie, choćby w zarysie, a wprowadzając tę poetkę w polszczyznę zrobić to muszę, to przystąpić jej poezję, to sprowadzić ją do malowniczego lub melodramatycznego dodatku do biografii. Tak! los spotkał w Polsce w pewnej mierze poezję Haliny Poświatowskiej. Więc może powiem od razu: Södergran umarła w 31 roku życia na gruźlicę, której jako nastolatka nabawiła się od ojca. Jej poezja daje się odczytać jako walka ze śmiercią.

Można historię tej walki wpisywać w porządek idei. Wtedy na pomoc wezwąć trzeba Artura Schopenhauera, który niewątpliwie patronował jej debiutowi książkowemu, dalej: Fryderyka Nietzschego i jego ideę nadczłowieka, która niezwykle pociągła umysł poetki, Rudolfa Steinera i jego antropozofię, którą Södergran fascynowała się, próbując ją zresztą pożenić z nietzscheanizmem, wreszcie rodzaj mistycyzmu chrześcijańskiego, który znamionuje jej wiersze ostatnie. Owszem, taki porządek historii idei mówi coś o tej twórczości, lecz mówiąc lokuje ją w lamusie historii literatury.

Ten porządek, jakkolwiek niezbędny — nosi w sobie zaczątki własnej klęski; oznacza wszak nie tylko zanurzenie tej poezji w jej czasowości, w rodzimym kontekście, w polu współczesnych jej sensów, lecz także wyraża gotowość do zawarcia dość antypatycznego paktu z czytelnikiem, paktu o antykwaryczności tej poezji. Ale ona, moim zdaniem, antykwaryczna nie jest.

Bardzo trudno pisać o Södergran. Panienska z dobrego domu mieszczańskiego o chłopskich korzeniach, urodzona w Petersburgu (to się nawet Polakom przytrafić mogło w owym czasie, w owym Imperium) w szwedzkiej rodzinie od niedawna osiadłej w Finlandii, dzieciństwo i większość życia spędziła w domu rodzinnym w Raivola w Karelii, skąd było blisko do Petersburga, gdzie panienska uczęszczała do szkół, i gdzie w gimnazjum spotykała się z innymi panienskami z dobrych domów, także polskich. Gimnazjum było niemieckie. Stąd Södergran opanowała niemiecki, francuski, rosyjski, no i szwedzki. Angielskiego i fińskiego nauczyła się później.

Raivola. Tam się zjeżdżali rosyjscy inteligenci, Niemcy wczasowicze; miejscowi — to było fińskie chłopstwo, którego nikt, rzecz jasna, nie zauważał (Edith zauważyła Finów później, dużo — nie w sensie czasowym, lecz w sensie dojrzwania — później); Szwedzi... ludzie w Raivola trochę bez przydziału; wyniosli względem Finów, dla Rosjan zbyt tubylczy... Kim miała być ta dziewczynka? W Imperium było dla niej miejsce: miała być inteligentką; dobrze wykształconą, z niezłymi koneksjami. W szkole zaczęła pisać wiersze; lepiej: produkowała je masowo. Ba, ale po jakimś czasie ktoś taki miałby pisać? Edith próbuje po niemiecku (większość bardzo licznych juveniliów), po szwedzku, po francusku, po rosyjsku. Rzecz do napisania, dlaczego właściwie wybrała język szwedzki? Bo to był świadomy wybór: niemieczyna była jej posłuszna, wiersze w stylu Heinego imponują do dziś. Tak, miała być inteligentką. Akcje ulokowane na Ukrainie dawałyby jej jakie takie utrzymanie; pisałaby sobie,

Inicjacja

Maciej Zaręba



Maria M. Hordyj (fragment obrazu)

nia, postukiwanie drewniaków na korytarzu i klekotanie wózków mieszały się z niecierpliwymi i rozkazującymi głosami.

Było nas siedmiu albo ośmiu pielęgniarzy, którzy karmili czterdziestu pacjentów. Nikomu nie poświęcano więcej niż pięć minut, a ci, którzy żuli zbyt wolno, rzadko zdążyli zjeść więcej niż pół porcji. (Większość nowo przybytych pacjentów szybko na ogół traciła na wadze i przepisywano im potem „Meritène”, odżywczy i oszczędzający pracy płyn, który dawano się wlewać bezpośrednio do przetyku). Po pół godzinie było już po karmieniu. Przyczyną tego pośpiechu było ciche porozumienie między zmianami: ci, którzy zaczęli pracę o pół do pierwszego domagali się, by przejmować nakarmionych pacjentów. Ranna zmiana ze swej strony miała jedno życzenie względem zmiany nocnej: pacjenci mieli być umyć, przed jej przybyciem. W zamian, nocna zmiana miała przejmować oddział gotowy do snu.

Nigdy nie udało mi się dociec, jak do tego porozumienia doszło i czy było ono znane osobom odpowiedzialnym: lekarzowi, szefowi kliniki, dyrektorowi. Lecz trzymano się go ściśle, a jakiegokolwiek uchybienie prowadziło na ogół do wielu burzliwych zażądań i oskarżeń w pokoju dla personelu, w którym przeważnie przebywano.

Tym razem w łazni ja sam coś krzychałem, było to może: „tak się z ludźmi nie postępuje”. Nie mogłem być pewny, że będę zrozumiany, moja szwedzka była dosyć wątpliwa; notabene znajomość języka nie była żadnym warunkiem otrzymania pracy w klinice psychiatrycznej. Lecz musiało to jakoś dotrzeć, bo pamiętam odpowiedź: „Że co?” Nawet siostra oddziałowa i szef kliniki, u których następnie niesolidarnie skarżyłem się na towarzyszy pracy nie uczynili jakiegokolwiek gestu, który wskazywałby na to, że „tak się z ludźmi nie postępuje”. Minęło kilka lat, zanim zrozumiałem, że oni, może nawet nieświadomie, dawali wyraz przemysłowej postawy filozoficznej. Zgodnie z panującą w Szwecji teorią poznania Szkoły Uppsalskiej moja wypowiedź była całkowicie nacechowana uczuciowością i nie przekazywała jakiegokolwiek sensownej treści. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Zagrożono mi wypowiedzeniem („konfliktowy”), lecz w końcu pozwolono zostać i w razie potrzeby byłem delegowany na dwadzieścia innych oddziałów. I wkrótce zdałem sobie sprawę z tego, że to, co zobaczyłem, nie było ani rzadkie, ani nawet szczególnie kompromitujące. Za wyjątkiem dwóch oddziałów podobne sceny zdarzały się wszędzie, niekiedy w obecności krewnych pacjentów. Około setki tymcza-

DOKOŃCZENIE NA STR. 10

Wydziedziczona

pisma literackie w Szwecji czy szwedzkojęzyczne w Finlandii (rosyjskiej) by ją drukowały. Trzeba tu wspomnieć, że w Finlandii była wspólna tradycja szwedzkojęzyczna. Södergran jest naraz jedną z największych poetek Finlandii i Szwecji. Nas to nie powinno dziwić, mamy i my z Litwinami i Ukraińcami wspólne wielkości. Tyle, że Finlandia od początku XIX wieku należała już nie do Szwecji, tylko do Rosji, zaś rodzący się w owym stuleciu nacjonalizm, budował świadomość fińską, także językowo i społecznie. Zresztą, kto wie, czy pisałaby po szwedzku, może jednak sięgnęłaby po niemieckie... Ale nie, Wiersze z 1916 roku oznaczają decyzję: będę poetką szwedzkojęzyczną... Fińską czy szwedzką? Nonsens. Przecież miała być inteligentką! Rewolucje rosyjskie, niepodległość Finlandii, oto co zaszło napierając na cichą prowincję karelską. Historia unieważniła przede wszystkim akcję rodziny Södergran, oferując w zamian skrajną nędzę. (Gruźlica + skrajna nędza + nieprzystosowanie do takiego losu dwóch samotnych kobiet, bo ojciec Edith umarł + izolacja społeczna tych kobiet „bez przydziału” — taki oto projekt tekstu krytycznego oferuje Historia).

A co pozostało z projektu inteligentnego, uniwersalistycznego, wielojęzycznego? Södergran gorączkowo próbuje stworzyć jakąś inteligentną wspólnotę, właśnie wspólnotę idei, myśli, ruchów literackich; tłumaczy ekspresjonistów niemieckich, Siewierianina, zaklina Hagara Olssona, swoją przyjaciółkę i „siostrę”, by działała na rzecz takich wspólnot, apeluje do modernistów szwedzkich. Na próżno: w dość prowincjonalnej Szwecji, bardzo prowincjonalnej Finlandii projekty takie w owym czasie — ale czy tylko w owym czasie? — skazane były na niepowodzenie. Może liczyć tylko na życzliwość ludzką, ale jej nieliczni przyjaciele znajdują się w niewiele lepszej sytuacji od niej. Kiedy to tylko możliwe, dyskretnie wspomagają ją finansowo. Gorączkowo rzuca się na lektury, polyka książki. Nietzsche oferuje jej wspólnotę nadludzką, wolność zbuntowanej jednostki, nieograniczone niczym horyzonty. Ale ta wspólnota nadludzi, to swoisty arystokratyzm, to garstka samotnych wybrańców (i wygnańców). Steiner oferuje wspólnotę z całym kosmosem; mistycznym chrześcijański daje poczucie pełni istnienia i pełni z istnieniem... Witkacy nazywał to niewiele później uczuciami metafizycznymi; chyba do tego tęskni Edith Södergran.

W bólu i we krwi zaczynała się nowa epoka. Ekspresjoniści byli jej natchnionymi apostołami; futuryści witali ją z entuzjazmem, jedni i drudzy zbudzili się niewiele później w obliczu obozów koncentracyjnych. Södergran nie przekroczyła nigdy horyzontu politycznego, wybierała autokratyczną samotność, ale nową epokę witała z ekstazą, zwłaszcza w *Lirze wrześnie* (1918), w wierszach opatrzonych datami powstania. Okres nędzy i samotności poprzedził inny, o którym należy opowiedzieć, bo wiem — przypadkowo — wpisuje się on w porządek symboliczny kultury europejskiej.

Kiedy państwo Södergran usłysze diagnozę choroby jedynej córki, wie, dzieł, co ją czeka. Można było tylko odwlekać agonię. Edith zaczyna swe życie od skoszarowanych szpitali, sanatoriów, lecznic. Młodziutka i garnąca się do życia, do tego obdarzona bujnym temperamentem, kochliwa, skazana jest na dofoliwe zabiegi i budzące przerażenie wyniki kolejnych badań. Jest coś symbolicznego w jej losie.

Wciśnięta w odgradzony od świata Półwysep Karelski zaczyna swe dojrzałe życie od szczególnej wspólnoty: ludzi chorych. Najpierw są to pobyty w sanatorium w Finlandii. Lecz następnie, a było to jeszcze przed erupcją rewolucji i wojen, wyjeżdża z matką do Davos, gdzie z przerwami przebywa do 1914 roku. Na pewno musiała się tam zetknąć z Hansem Castorpem, słuchała Settembriniego, może nawet Naphty, jeśli pozwoliłby on na to, by słuchały go kobiety; mogła też na krócej z wycieczek wsluchiwać się w bełkot Peeperkorna. Ten byłby jej chyba najbliższy: ekstatyczny wielbiciel życia i natury. Ekspresjonista Idealny. Ale też Naphta, dzięki spowinowaceniu z Nietzschem, zrobiłby na niej silne wrażenie, choć później bolszewizm nie znośił; ale też jaki z Naphty bolszewik? Co miałyby im do powiedzenia? W przededniu rozpadu świata, w przededniu własnej katastrofy... Uczyła się angielskiego. Flirtowała z lekarzami. To Mann świetnie rozpoznał. A jednak... Myślę, że Södergran miała do powiedzenia coś, czego w świecie Manna brakło. Tym czymś było bycie kobietą i bycie kobiety pojęte jako istnienie o ogromnej masie. Jako dający się dotknąć ciężar. Los kobiety? To brzmi banalnie. Södergran nie odkrywa kobiecości; ona kobietą jest. I odczuwamy to u niej jako oczywistość. Ale oczywistością to nie jest. Jak oczywistością nie jest żadna swoistość, czy — by spojrzeć na to z przyrodzonego mi męskiego punktu widzenia — inność.

Ja wiem, przełom wieków odkrył kobiecość. Kobiecość próbuje się wtedy wyodrębnić, choćby jako rodzaj człowieczeństwa. Ale u Södergran brzmi to jednak inaczej. Nie tylko z racji erotyzmu. Z racji uporczywie stawianych pytań metafizycznych. Ileż wierszy poetki zawiera formułę „jestem” lub ją wyraża. I tu jako tłumacz miałem duże trudności. Jak ona powinna brzmieć po polsku, ta kobieta? Próbowałem wiele razy, i odkładałem. Brzmiało mi to jakoś sztucznie i pretensjonalnie. Brakło wzorców. Młodość polskie kobiety oferowały język zbyt manieryczny, a Södergran nie jest manieryczna, może tylko czasem nadużywa wyliczenia. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, zaledwie o rok od niej starsza, wstąpiła w kostium epoki, skrywała dłonie w twarzowych mufkach; Södergran odziedziczyła, może po swych chłopskich przodkach, pewną ascetyczność, konkretność i niechęć do kostiumów. A Kazimiera Iłakowiczówna, jej rówieśnica (do tego matura w Petersburgu!) — innej, prostszej baśni wówczas poszukuje. Wzorec językowy Iłakowiczówny wydaje się jednak przydatny, zwłaszcza z późniejszej twórczości poetki poznańskiej, szczególnie jeśli chodzi o wykorzystywanie wiersza wolnego. Najbliżej jej do Haliny Poświatowskiej, ale, mój Boże, dzieli je kilka epok literackich. Zetkną się oko w oko z byciem kobiecym... kłóż podejście się tego bez bojaźni i drżenia? Tłumacz Södergran musi znaleźć w polszczyźnie frazę brzmiącą naturalnie, musi powściągnąć w sobie ciagoty sentymentalne, zdławić tendencje do infantylizmu, nie rezygnując jednak z pewnego waloru archaizacji, osadzenia tej poezji w jej rodzimym kontekście. Edith Södergran jest poetką poważną, nie ma w niej śladu czułościowości, czy kokieterii. Owszem, bywa ekstatyczna, ale jest to ekstaza... oschła, jakiej nie znał nawet Tadeusz Miciński!

Ale przecież jednym z tematów tej poezji jest nostalgia za dzieciństwem. Przecież w jej poezji raz po raz odzywa się mała dziewczynka. Na dziewczynkę

Widziałam drzewo

Widziałam drzewo większe od wszystkich innych
obwieszone szyszkami poza zasięgiem dłoni;
widziałam wielki kościół z otwartymi drzwiami
a każdy, kto wychodził był błądliwy i silny,
i gotowy na śmierć;
widziałam kobietę pogodną i usminkowaną
co rzucała kośćmi o swe szczęście
i zobaczyła klęskę.

Wokół tych rzeczy zakreślono koło.
Jego nikt nie przekroczy.

Dzień ostyga

I

Pod wieczór dzień ostyga...
Pij ciepło z mojej dłoni.
Moja dłoń ma taką samą krew jak wiosna.
Weź moją dłoń, weź moją białą rękę,
weź tęsknotę moich smukłych ramion...
Przedziwnie by było,
jedyną jedyną nocą, nocą jak ta,
czuć twoją ciężką głowę na mojej piersi.

II

Rzuciłeś czerwoną różę twej miłości
w moje białe łono —
trzymam kurczowo w mych gorących dłoniach
czerwoną różę twej miłości, która wkrótce zwiednie...
O władco zimnooki,
przyjmuję koronę, którą wyciągasz do mnie,
a ona ugina moją głowę ku sercu...

III

Dziś po raz pierwszy zobaczyłam mego pana,
z drżeniem poznałam go natychmiast.
A teraz czuję jego ciężką rękę na moim lekkim ramieniu...
Gdzie mój dzwiczny śmiech dziewczyny,
moja wolność kobieca z podniesioną głową?
A teraz czuję jego mocny uchwyt wokół mego rozedrganego ciała,
a teraz słyszę głuche uderzenie rzeczywistości
w moje kruche, kruchutkie sny.

IV

Szukałeś kwiatu,
znalazłeś owoc.
Szukałeś żdźbła,
znalazłeś morze.
Szukałeś kobiety,
znalazłeś duszę —
jesteś rozczarowany.

Ja

Obcą jestem w tym kraju,
który leży głęboko pod przytłaczającym morzem.
Słońce zagląda wijącymi się promieniami
a między moimi dłońmi przecieka powietrze.
Powiedziano mi, że urodziłam się w niewoli —
tu nie ma żadnej twarzy, którą bym znała.
Czy byłam kamieniem rzuconym tu na dno?
Czy byłam owocem, zbyt ciężkim dla gałęzi?
Czyham tutaj, u podnóża szumiącego drzewa,
jak mi się wspinać po tych śliskich pniach?
Tam w górze spotykają się rozkołysane korony,
tam pragnę usiąść wypatrując
dymu z ojczystych kominów...

Vierge moderne

Nie jestem kobietą. Jestem rodzaj nijaki.
Jestem dzieckiem, pażem i śmiałą decyzją,
jestem śmiejącym się pasmem szkarłatnego słońca...
Jestem siecią na wszystkie ryby żarłoczne,
jestem czarą na chwałę wszystkich kobiet,
jestem do kaprysu i upadku bramą.
Jestem skokiem w swobodę i w siebie samą...
Jestem szeptem krwi w uchu mężczyzny,
jestem dreszczem duszy, tęsknotą ciała i odmową,
jestem wywieszka z napisem wejście do nowego raju.
Jestem płomieniem, poszukującym i żwawym,
jestem wodą, głęboką, lecz śmiałą po kolana,
jestem ogniem i wodą w prawym związku na swobodnych zasadach...

Przełożył LEONARD NEUGER

Rita Tornborg

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

dzwoni, drzwi z wybrzuszonym bursztynem nieomal zostają wyrwane jej z ręki przez napierającą wichurę. Już jest na zewnątrz w chłodzie, który ma zapach i działanie kwasu solnego. Mężczyzna wychodzi za nią. Niskie chmury na ulicy Dawida Piekarsza zawadzają czołami o dachy kamienic. W Grodzie Nalena nawróceni alkoholicy spacerują tam i z powrotem w oczekiwaniu na zapitych współbraci, by odwdziżyć się za to, co sami kiedyś otrzymali, pomoc w rozpacz. Degren-golady różnego rodzaju czują się świetnie na ulicy Dawida Piekarsza. Przeciąg-ludojad dudniąc jak pociąg pędzi w dół, w dół Birger Jarlsgatan. Od Malmkillnad-gatan nadciąga burza gradowa. Na terenie wyburzeniowym rozrzucone cegły czerwienią się ze złości. Dwaj młodzi narkomani nachylają się nad płótnem czoła w czoło. Kremowy alfa romeo czeka.

A w środku jest przytulne ciepło, czerwone siedzenia skórzane, łagodna woń Chanel no 5, ukochanych perfum Bibby, oraz salami, jej ulubionego przysmaku, węgierska salami Pricka o smaku czosnkowym. Bibba jest autentyczną dziewczyną, bo ma ładny biust i trochę wypiętą dupcię. Człowiek zmęczony o wszystkim przy niej zapomni, przede wszystkim o niej samej. Jest, no piękna. Mężczyzna nagle ziewa na myśl o Bibbie.

nie rzecz biorąc, święta, zmarła młodo, sama z siebie, znaczy nie z własnej ręki, chyba białaczka.

Darnebo czuje się nieco rozczarowany. Dziewczyny z portretowanymi krewnymi są może nie tak łatwe do wzięcia jak Bibba bez takiego zaplecza.

Beata staje pośrodku tego białego przedpokoju i patrzy na swego gościa zupełnie pustymi oczami. On wpada w panikę na myśl, że ona zapyta go, co tu robi. A co on tu robi? W przedpokoju nie ma lustra, nie może więc do niego podejść by poprawić krawat, a naprawdę po to by uzyskać potwierdzenie, że ciągle jest nadzwyczajnie atrakcyjny. Ma wielką potrzebę tego właśnie. Drzwi po prawej otwierają się na dość duży pokój, równie biały jak przedpokój, z takim samym wiązanim dywanikiem na podłodze, taką samą kulą wiklinową zwisającą z sufitu. Okrągły stół ze szklanym blatem stoi otoczony czterema krzesłami z pleksiglasu. Biblioteczka z tegoż materiału przy jednej z dłuższych ścian jest zupełnie pusta, bez jednego jedyne przedmiotu. Stig Darnebo zaczyna się bać. Jego serce zaczyna ciężko pracować, gardło się zaciska, trochę ale niemiło. W pokoju nie ma nic prócz biblioteczki, stołu, krzesel i dywanika. Wielkie okno jest pozbawione zastłon. Ani roślinki na parapecie, ani obrazka gdziekolwiek, lustra, kotka gipsowego czy książki. Zupełnie nic. Dywanik jest gruby i wydaje się

Beata i sztokholmczyk

Dogania Beatę walczącą z wichurą, wychyloną do przodu, skoncentrowaną, zapartą w sobie. Kiedy ją bierze pod rękę, ta zwraca ku niemu zdumioną twarz, jakby go nigdy wcześniej nie widziała. Nie poznajesz mnie, śmieje się mężczyzna pewny, że jest na odwrót. Ona marszczy czoło, patrzy w górę z namysłem, patrzy w dół, na ulicę, wreszcie kiwa głową jakieś nieśmiałe poświadczenie. Mężczyzna otwiera drzwi samochodu, światowo cofa się nieco, czeka aż dziewczyna posłusznie i pośpiesznie wsiądzie do drogocennej klateczki, której żadna kobieta właściwie nie może się oprzeć. Lecz Beata wciąż jeszcze walczy z wichurą wielkimi krokami i wielkimi wymachami ramion wieszczącymi, że przedstawienie trwa, choć zmieniło charakter. Politywany mężczyzna zatrzaskuje drzwi samochodu, zamyka je na klucz i biegnie, by ją dogonić. Dokąd to? pyta. Do metra, do domu. Jest z gołą głową, twarz-przyjmię wkrótce z zimna bladofioletową karnacją. Nie jest miłutka, nie jest ładna, nie jest kobieca, wygląda jak zmarznięty anioł, naturalny, roztrzępany i trochę stuknięty anioł rzucający na mężczyznę stojącego u jego boku zdumione spojrzenia.

Czy mogę cię odprowadzić do domu? pyta.

A czemu? mruczy dziewczyna.

Czemu! Co za pytanie. Jak się na coś takiego odpowiada? Nie nauczył się odpowiedzi na proste pytania, nie było dotąd takiej potrzeby. Czyżby wszystko zawsze nie było samo przez się zrozumiałe? Po co gadać? Jak się nic nie mówi, to nic nie jest powiedziane, jak zwykł się zwierzać przyjaciółom od biznesu. Zdrowa zasada, ich zdaniem, bo w życiu kierują się takimi samymi regułami. (Jego znajomi od biznesu są zawsze w akcji, bez wysiłku unikają mówienia czegokolwiek osobistego i mają stałe problemy z nadwagą. Owe trzy cechy w tajemniczy sposób zdają się łączyć ze sobą).

Na przednim pomoście wagoniku metra znajduje się obita bakelitem poręcz, do niej właśnie przykleja się Beata rzucając okiem znad ramienia. Wzdycha. Niekiedy, mówi trochę zbyt głośno, w wagonikach jest tyle wściekłości i nienawiści, że człowieka jakby wgniatało w poręcz. Tam siedzą okropne szkarady, po czterech, demony przebrane za cioty, tak więc dopomóż mi Boże, bo i ja kiedyś będę ciotą, o tam siedzą i pragną krwi. Własnymi rękami pragną rozerwać na strzępy kurewki, narkomanów i czarne łby. I niech mnie krew zaleje, jeśli zasługują na łitość, bo nad nienawistnikami nie trzeba się łitować.

Studiuje socjologię, myśli mężczyzna, albo psychologię. Radykałka. Rozgląda się wokół z niepokojem i zażenowaniem, bo Beata nie ma zamiaru ściszyć głosu. Mogłiśmy pojechać autem, to byśmy tego wszystkiego uniknęli.

O nie, odpowiada z naciskiem. Mnie nie wolno niczego unikać.

Po raz pierwszy patrzy na niego jak na prawdziwą osobę. Bez roztrzępania. On spuszcza wzrok.

Wichura podejmuje prześladowania gdy tylko ci dwoje opuszczają podziemia. Atakuje ze wszystkich stron naraz. Dziewczyna zatacza się od uderzeń wiatru i opiera się o mężczyznę. Opiekunczo bierze ją za ramię. Przez rękaw płaszcza wyczuwa szczupłość jej ręki.

Beata mieszka w domu przy Gjutargatan, jest to w miarę elegancki dom, gdzie przypuszczalnie nawet ubogą studentkę stać na mieszkanie. Czym jest teraz stypendium, zastanawia się facet, chyba z trudem wystarczą na czynsz i wyżywienie, resztę muszą pokryć mama i tata. Dom graniczy z dwoma innymi, jednym różowym, drugim o barwie gówna gęsięgo — jak się należy na prawdziwej ulicy w prawdziwym mieście. Ulica zaś rozszerza się w podwórze, czy ślepy zaułek z paroma rzetelnie wyrośniętymi drzewami i figurą z piaskowca pośrodku; naga dziewczyna, jak zwykle.

Krótki wieś tocząca winda wywozi ich na trzecie piętro. Wiele drzwi na każdym piętrze zdradza niewielkie mieszkania, niewielkie i bezpretensjonalne. Nie może być lepiej. Bibba mieszkała nie nowocześnie zanim się nią zajął, to czyniło ją gorliwą i mniej pewną siebie.

Nie wierzy własnym oczom, gdy stają przed drzwiami z „Beata Anioł” na mosiężnej tabliczce: duża, droga, wygrawerowana z zakrętami wizytówka. Są zatem ludzie, którzy mają Anioł na nazwisko. Hm, a czemu nie? Sam nazywa się Darnebo, Stig Darnebo, ładne nazwisko, jeśli by się tak mógł wyrazić: ręcznej roboty. Beata Anioł i Stig Darnebo. Twarzowo!

Przedpokój jest nieco większy i bardziej elegancki, niż się tego spodziewał. Cały na biało, z sufitu zwisa biała kula wiklinowa, dwoje na biało wymalowanych drzwi, pomiędzy nimi czułościowy pastel przedstawiający uduchowioną młodą damę z rudoblonde serpentynami loków na karku i czarną wstążką wokół szyi. Dama zwrócona jest ku widzowi regularnym profilem, sama rzuca spojrzenia spod sklepiionych powiek w siną dal. Siostra babci, mówi Beata, Louise, praktycz-

kosztowny; to musi być przeraźliwie tak siedzieć przy okrągłym stole i patrzeć na swoje pomarszczone nogawki i niewypucowane buty. Choć on stuprocentowo wie, że nikt nigdy przy tym stole, w tych krzesłach nie siedział. Nikt nigdy tam nie usiadł. To mieszkanie nie jest dla ludzi, może dla aniołów? Także sypialnia jest biała, znów biały dywanik, swego rodzaju komoda z szuflad z pleksi, ułożonych jedna na drugiej; w szufladach, w pełni widzialnych, kilka zwiniętych kawałków materii, majtki? bielizna? całuny? Łóżko jest obszerne, niskie, przykryte grubą białą narzutą z wypukło tkanej bawełny. Żadnych frywolnych frędzli na narzucie, żadnych też obrazów, ani choćby plamki barwnej prócz cętkowanego tygrysa na poduszce. Nad wezgłowiem wisi srebrna lampa do czytania. Stig Darnebo zaczyna marznąć.

Beata popycha go lekko dłonią w plecy. Idź połóż się, mówi. Patrzy na niego i nie widzi go. Nie stój tak jakbyś kij połknął w mojej sypialni, od tego robi się niedobrze. Skłonny jest nie wiadomo co myśleć o niej i o tym okropnym mieszkaniu. Zaczyna systematycznie zrzucić z siebie odzienie, na wpół podniecony, na wpół zimny jak lód. Oczywiście, z jaką Beatą wskazuje mu łóżko, pobudza jego oczekiwania, bezbarwność pokoju doprowadza do szczekania zębami. Jest tu coś złowróżbnego, jakaś przepaść co czyha. Nigdy nic podobnego mu się nie przytrafiło, chyba nigdy nie chciałby się w coś takiego znowu dostać. Jego ubranie na dywaniku wygląda jak zakatrupione, jak ludzkie szczątki, które przed chwilą wylazły z ciała. Wyskakuje z łóżka i składa schludnie ubranie, buty wypychając pod łóżko. Marynarka, spodnie, krawat, ależ wyglądają nachalnie, ma ochotę włożyć wszystko jak leci pod łóżko, ale pohamowuje się. Złwieka długo. On płonie z ciekawości, zniecierpliwienia i chłodu. Jest zbity z pantafyku, bo znajduje się w całkiem nowej sytuacji, na którą nie ma wpływu, samemu będąc bezwolnym przedmiotem. Równocześnie jednak ta sytuacja dopinguje go.

Gdy wreszcie Beata wchodzi, on dostaje niemal skurczu serca ze zgrozy. Jest całkiem naga, długa i chuderława i nie rozwinięta, niemal bezpłciowa, włosy na łonie są płomiennie rude, brzuch biały, ale nie aż tak biały jak ta okropna pobielona twarz. Usta wymalowała sobie na wielkie i czerwone, nie jak usta kurwy, ale jak usta clowna, oczy obramowane na centymetr szerokimi, czarnymi krechami, patrzą na niego nieznosnie nago; pionowe, czarne krechy na powiekach i bolesne wzniesione w górę łuki brwi dopełniają maski. Ona otwiera z wolna usta i robi się przeraźliwa. Nieszczęsny Stig Darnebo przyryka oczy. Beata wlatuje lekko na łóżko i siada okrakiem na przejętym zgrozą, lecz wciąż pozbawionym potencji mężczyźnie. Ani razu nie dotyka go rękami. Gdy pochyla nad nim swą maszkarowaną twarz, nie waży się już przytknąć oczu, tylko gapi się jak zahipnotyzowany w jej absolutnie nagie, błyszczące, niepojęte oczy. Ona patrzy na niego i nie widzi go, ona wpatruje się głęboko w jego oczy i zdaje się nie znajdować tego, czego szuka.

Stig Darnebo czuje się zhańbiony.

Po niedługim czasie ona siedzi na skraju łóżka, z brodą opartą o kolana i ramionami wokół chudych nóg. Jak zwykle, mówi, stare włożyć i wyjąć, nieraz już to brałam. Przytakuje, znaczy maszkarowana twarz przytakuje, clown przytakuje przesadnym przytakiwaniem clowna. Ona nosi czarną jedwabną apaszkę związaną na głowie, ani źdźbełko włosów stamtąd nie wygląda. Mężczyzna, który ciągle jeszcze leży na wznak, jest bliski płaczu. Nie rozumie nic a nic. Czemu tak robisz, charyz, czemu robisz z siebie widmo? Jesteś w sam raz do wariatkowa. Na głowę upadłaś?

Beata spogląda na niego z nieukrywaną niechęcią. Każda zmiana na jej pobielonej twarzy clowna w jakiś cudowny sposób ulega powiększeniu i uwyrażnieniu. Dlatego teraz zostaje niemal całkiem zmiażdżony. A jednak próbuje z prawdziwym heroizmem ratować resztki poczucia własnej wartości.

Dziecinno, mówi nagle rozluźniony i opiekuńczy. Najwyraźniej czas najwyższy, żebyś zaczęła obcować z ludźmi dorosłymi. Szczęście żeś mnie spotkała. Nie masz chyba nic przeciwko temu, żeby teraz wujek zaopiekował się tobą.

Jego brzuch trochę wystaje, nawet kiedy leży płasko na wznak. Jest to dość pulchny człowieczek z rzędnymi włosami. Nieszczęśliwie pociągający, nieszczęśliwie odpychający, nie znamiennie psychopatyczny, ale trochę ograniczony. Teraz walczy o godność, z pamięcią zimnego jak lód stosunku, z tą zrezygnowaną jak małpa, podługowatą dziewczyną, która tak jawnie robi z niego błazna. Walczy też z czymś w tym białym mieszkaniu, czego nie lubi, czego nie rozpoznaje. Tutaj on jest nieważny, postronny, zbędny. Zrobił swoje. Jego ciało nie stanowi ośrodka zainteresowania, jego pieniądze — nigdy nie stanowiły, jego pozycja społeczna jest obojętna, jego cechy charakteru nudzą. A jednak napiera się po papierosy, wytrzępuje jeden, bardzo męsko i zdecydowanie, z paczki, zapala go

Dlaczego zaczęłam pisać

Nuda i przerażenie.
Przerażenie nudą...
Oto dlaczego zabrałam się do pisa-

nia. Nuda to tylko ostrzeżenie, że coś nie tak, że jest dół, który należy zasypać. Na początku jest nuda tylko objawem choroby, ale zignorowana staje się sama chorobą, która na ogół kończy się fatalnie, bo przecież wiadomo jak wielu ludzi zanudziło się na śmierć.

Takie widoki bardzo mnie przerażyły. Kiedy byłam młoda, świat stał rozarty na oścież i błyszczał. Kiedy się zestarzałam, gwałtownie i przedwcześnie, w wieku lat ośmiu i pół, świat zgasił, zamknął się skrzypiąc przeciągle, i nieuchronnie poszedłby ze mną na dno szarego oceanu nudy, gdyby nie żółty ołówek firmy Majewski, i niebieski szkolny zeszyt w linijki.

Bezpośrednią przyczyną tej niedoszłej, osobistej katastrofy było odejście Maryni. Zjawiła się u nas, żeby zrobić ze mnie ludzi, znikając zrobiła ze mnie pisarza, tym samym wtrąciła mnie w przedwczesną starość, ale to nie szkodzi.

Moja matka musiała być pod szczególną opieką Hermesa, boga tricksterów, kupców i złodziei, tego dnia kiedy ukradła Marynię pewnej wiejskiej nauczycielce, osobie ogólnie cenionej, mimo że trzymała drób w kuchni. Bardzo te kury, kaczki, gęsi i indyki dręczyły Marynię, kiedy to po nocach obsiadywały jej łóżko i nie dawały spać. Twierdzię, że w tym wypadku kradziony obiekt chętnie pozwolił się ukraść i jeszcze aktywnie dopomagał w przestępstwie. Piękne to było przestępstwo, brzemienne w dobre dla mnie skutki.

Marynia i Józef Conrad wiele mieli wspólnego, mianowicie miejsce urodzenia, geniusz narratorski i nazwisko. Wcale nie jest wykluczone, że należeli do tej samej rodziny, Korzeniowskich, której jedna gałąź popadła w biedę, bo fortuna kołem się toczy. A dziadek Maryni to był nie byle kto, bo chodził nawet na co dzień w czerwonym tużurku, dmuchał w swoje białe wąsy i pykał fajeczkę. Jako młody chłopak brał udział w „wojnie tureckiej”, po stronie cara, i jeśli mu wierzyć, pełno go było na Krymie. Umarł pewnie przez solidarność ze swoją córką, bo przeżył ją tylko parę dni. A ona przedźwignęła się, ciągnąc wielki wór mąki przez sień. I coś w niej pękło, coś się w niej obsunęło i poszło w kierunku śmierci. Trzy razy pokazała się po pogrzebie, ciągle z tym worem i ciągle w tej sieni. Miała dziesięć lat, kiedy zaczęła służyć, i trochę po trzydziestce, kiedy przyszła do nas. Cały jej dorobek mieścił się w wiklinowym kufrze.

Zaraz wypędziła mnie z kuchni (pod tym względem była kamiennego serca, acz niekonsekwentna, bo czasami pozwalała mi koczować pod kuchennym stołem) i wydała zupełnie niepotrzebny dekret o nienaruszalności swego łóżka. Któżby się ośmielił na nim siedzieć? Marynine łóżko było świętsze od ołtarza świętego Józefa, patrona dzieci i służących.

I zawinęła rękawy do roboty. Zaczęła od dziesięciu przykazań, wbijała mi je w głowę z twardym uporem dzieciota, ale bez używania gwałtu. Tylko jeden jedyny raz zamachnęła się na mnie swoim bardzo miękkim pantoflem z metalową sprzączką, w beżowo-brązową kratkę, ale go spokojnie opuściła i znowu założyła na nogę.

Czytać nauczyła mnie za pomocą elementarza do pierwszej klasy szkoły

powszechniej i magicznych klocków z literami, białych białych rumianków albo białej śmietany, zależnie pod jakim kątem światło słoneczne na nie padało, z czerwonymi jak dotleniona krew literami. Przysięgam, że te klocki same unosiły się w powietrzu i same się układały pionowo w „Ala ma psa”, a poziomo w „To pies Ali”.

W ten sposób, siedząc na podłodze, bez cierpień przekroczyliśmy próg niewiedzy i weszły w trójwymiarowy świat zadrukowanej kartki papieru, bo dzięki Maryni poznałam, że każda stronica książki posiada przestrzeń i głębię, swoje własne cztery strony świata. Czyli słowo szybko stało się dla mnie ciałem i zaprezentowało jako ambasador wszechmaterii. Każde sześciolatnie dziecko coś takiego podejrzewa, ale nie wszystkim los użycza klocków i Maryni.

Była moim Mojżeszem, Wergiliuszem i Mecenase. Była moją Szeherazadą. Opowiadała bez przerwy, zawsze, i niezmiennie te same historie. Im częściej je słyszałam, tym więcej przybywało im prawdy. Działo się to dlatego, że każde *da capo* powiększało już raz ujawnioną prawdę, odstawiając coraz to nowe tajemnice. Marynia i jej opowieści rosły na prawdzie jak ciasto na drożdżach. No i nauczyła mnie, że wszelka literatura to tylko repetycja.

Była także moim Vasco da Gama, trochę kulawym, ponieważ chromała na prawą nogę. Przeżyliśmy wiele przygód na piechotę, bo skąpiła nam pieniędzy matczynych na tramwaj, a swoich miała bardzo niewiele.

I nauczyła mnie Marynia, że trzeba dużo chodzić po świecie, bo w ten sposób poznaje się świat. A potem, jak mnie tak okrutnie osierociła, trzymałam się zawsze tej zasady, i dalej piszę moje książki nogami.

W smutnej wiosce na Podlasiu świat się skończył, zamknął, zniknął, pokuśtykał za Marynią do jej nowej „pani”. Mnie nie zostawił nic, prócz nudy.

Dziwna to była wioska, wszystkiego tam było brak, łąk, drzew, pól, po krowach ani śladu. I tylko garbaty jak dromader, wysoki rower gospodarza próbował dowodzić jakichś racji. Gospodarza też nie było, tylko pustka między cholewami a czapką z daszkiem.

Śmierć zaczęła za mną wodzić szarymi oczyma; bardzo się przerażałam.

A w pobliskim miasteczku, jednym z tych pomniejszych, którym się albo nie chciało albo nie dano rosnąć, czekał na mnie patriarcha w czarnej szacie, aby mi sprzedać żółty ołówek firmy Majewski i niebieski szkolny zeszyt, linowany. Marynia znikając zamknęła świat za sobą, musiałam go otworzyć piórem.

Tego samego dnia powstała moja pierwsza dokumentalna powieść z rozdziałami równymi rubrykom. Jak na ośmiolatnie dziecko nieszczerłone to dzieło, ale byłam wciąż pod wrażeniem mojej wielkiej straty.

„Kurki pod trzema sosnami.
Muchy są w oborze.
Krowa zjadła kapelusza.

Nad łąką latało bardzo dużo motyli”.
A więc były drzewa w tej wiosce, muchy, krowy i łąka i motyle. Trzeba to było tylko wypisać.

Fot. Archiwum

zapalniczką, której kosztowność uchodzi uwagi Beaty, napełnia płuca dymem i wyciedza go przez zaciśnięte zęby z nieco syczącym dźwiękiem. Także Stig Darnebo w opatach potrafi być aktorem.

Czy mógłbym prosić o popielniczkę, dziecko, mówi lekkim tonem.

Beata nachyla się nad nim i łapie przesadnie chwyliwymi palcami za papierosa w jego ustach. Siup, mówi i wyciąga go. Adios. Tu się nie pali. *Hier wird nicht geraucht. Pas pour fumeurs. Smoking not allowed.* Cudacznie jak małpa wyskakuje z pokoju trzymając papierosa na odległość ramienia. Kiedy powraca, wściekłość mężczyzny sięga niebezpiecznych wyżyn. Ma ją ochotę spoliczkować, ma ochotę, by jej głowa tańczyła z jednej strony na drugą, jak wahadło zegara. Lecz wściekłość gaśnie osobiście szybko na widok tej cynkowobiałej twarzy i zmienia się w niechęć. Ona jest szalona, i to całkiem nieźle, myśli. Dlatego nie protestuje, gdy ona, gestem który nie sposób źle zrozumieć, wyciąga ku niemu jego koszulę. Posłusznie wkłada ją, zapina, doprowadza do porządku, wskakuje w spodnie, bierze w milczeniu i coraz szybciej wkłada na siebie pozostałe części garderoby, podczas gdy dziewczyna stoi na rękach z nogami ku gołej ścianie. On odparowuje tę pozycję myślą o jej szaleństwie i dość skutecznie udaje mu się napompuwać nadwężonym poczuciem własnej wartości. Lecz powietrze uchodzi z niego niepowstrzymanie, gdy widzi, jak ona po domowemu i zwyczajnie zaczyna zdejmować pościel z łóżka, najzupełniej czystą, świeżą pościel. Cate to koszmarnie popołudnie mógłby jakoś zdzierżyć, ale tego ostatniego poniżenia — nigdy. Żadna kobieta nigdy jeszcze nie zachowywała się tak wobec niego, toteż powiada: żadna kobieta nigdy jeszcze tak mnie nie traktowała, lecz Beata nic a nic nie rozumie. W jakim sensie traktowała? Chyba ja w ogóle cię nie traktowałam. A teraz sobie pójdiesz, jestem zmęczona. Jestem subwitalna i muszę dużo spać; muszę śpiąc dościsnąć ważny sen, który miałam, jak byłam małą.

Ale chyba nie musisz zmieniać twego czystego prześcieradła po mnie, jakbym był zapchlony. Naprawdę jest bardzo dotknięty. Ależ ja to zawsze robię, broni się Beata, nie lubię pościeli, w której ktoś leżał, nie bierz tego do siebie. Właściwie powinnam mieć specjalny pokój do kochania, ale stałby przeważnie pusty. Tak naprawdę to nie interesuję się mężczyznami dłużej niż przez godzinę. Najwyżej. Poza tym mężczyźni przywiązują zbyt wielką wagę do grzeczności, którą robią.

Do zobaczenia, on się odgryza.

Czyżby? Nie sądzę.

Oto stoi on, odziany w piękny płaszcz człowieka sukcesu, który dostał po nosie. Oddalony od swego białego auta, alfy, jak zwykł mówić, od swej willi w Enskede, od żony, od Bibby, która robi mu na centralce telefonicznej — także jego stały sposób wystawiania — i jest mu tak oddana.

Zatrząskuje drzwi na odchodnym.

Zanim dochodzi do windy, ta ucieka w górę, biała twarz clowna wygląda.

Jak ty się właściwie nazywasz, pyta clown dość przyjaźnie, zapomniałam zapytać.

Mężczyzna milczy.

Ależ powiedz...

Stig, wydobywa się z niego.

Stig, powtarza maskarą, Stig, oha, Stig. To nie twoja wina. Drzwi zamykają się. Winda nareszcie podjeżdża. Ciut-ciut za późno.

Przełożył LEONARD NEUGER

* Nalen (skrót od Nationalen) — kiedyś znana sala dancingowa i koncertowa, gdzie występowały wszystkie wybitne zespoły jazzowe, europejskie i amerykańskie. Obecnie dom i sanatorium dla alkoholików (przyp. tł.)

Fragment powieści *Imieniny Salomona*, która ukaże się nakładem Oficyny Literackiej.

KSIĄŻKI

Szwedzi mówiący biegle po polsku

Carl Michael Bellman
Fredmanowe Pośłania i Pieśni
tłumaczenie i wybór
Leonard Neuger
ilustracje Maria Hordyj
PWM, Kraków 1991

Erik Johan Stagnelius
Elegie
wybrał, przełożył i wstępem
opatrzył Leonard Neuger
Oficyna Literacka
Kraków 1991

Tomas Tranströmer
Moja przedmowa do ciszy
przełożył i wstępem opatrzył
Leonard Neuger
Oficyna Literacka
Kraków 1992

Nie jest pewne, czy gdyby Stanisław Barańczak nie wyjechał z początkiem lat 80-tych do Stanów Zjednoczonych, literatura polska nie otrzymałaby mimo wszystko z jego ręki kilkudziesięciu arcydzieł przekładowych poezji anglojęzycznej. Jest natomiast całkiem pewne, że gdyby Leonard Neuger nie był poproszony (wyszedłszy wreszcie z więzienia) Szwecji o azyl — wówczas literatura polska nie otrzymałaby trzech poetyckich arcydzieł poezji szwedzkiej.

Leonard Neuger w ciągu paru lat zadomowił się w Szwecji tak dalece, że przyswoił sobie nie tylko język tego kraju, ale i wszedł głęboko w jego kulturę, tradycję literacką, tak odmienną od tradycji polskiej i tak, mimo sąsiedztwa, w Polsce mało znaną.

Trzy książki wydane u nas na przestrzeni mniej więcej roku — ukazują sylwetki artystyczne trzech poetów, z trzech różnych epok, a więc i z trzech różnych faz historycznych języka i kultury szwedzkiej: późnego klasycyzmu i rokoka (Carl M. Bellman), romantyzmu (Erik Stagnelius) oraz współczesności (Tomas Tranströmer). Każdy z nich będąc w obrębie swojego czasu poetą bodaj najwybitniejszym, i bardziej chyba oryginalnym niż „reprezentatywnym”, wprowadzony teraz do literatury polskiej stanowi w niej zjawisko niezwykle; co znaczy: z najwyższym trudem dające się porównać z jakimkolwiek równieśnym mu zjawiskiem polskiej poezji.

Aczkolwiek wnikliwość interpretacyjna, poetycki talent i translatorska wirtuozeria tłumacza sprawiają, że każdy w polskiej szacie językowej czuje się naturalnie, nie tracąc w tej międzyjęzykowej podróży swego pierwotnego bogactwa i narodowo-historycznej specyfiki.

Największym osiągnięciem Neugera jest zapewne pierwsza z tych książek, wydana pięknie przez Wydawnictwo Muzyczne jeszcze z końcem 1991 r. — obszerny wybór z dwóch zbiorów Bellmana (z lat 1790 i 1791), uważanego przez Szwedów za ich poetę najwybitniejszego, zajmującego w ich historii literatury pozycję taką niemal jak u nas Kochanowski. Ta, polska teraz, książka (ze znakomitymi ilustracjami, także Polki, Marii Hordyj) uzyskała prestiżową nagrodę Akademii Szwedzkiej, otwierając tłumaczowi wstęp do szwedzkiego oddziału PEN-Clubu.

Bellman jest niemal rówieśnikiem Trembeckiego i Karpińskiego, jakże atoli od nich odmiennym! — w ogóle zresztą nieporównywalnym z żadnym poetą polskiego klasycyzmu. Można by go ostatecznie określić jako twórcę rokokowego, z czego jednak dla tłumacza mały pożytek, bo ten nurt u nas w poezji właściwie nie istniał. A zresztą byłoby to takie rokoko, w którym ktoś fragmenty sielankowych obrazów Jeana Watteau (np. *Odjazd na Cyterę* czy *Święto miłości*) przemieszczał szaleńczo z obrazami obu Bruegelów „Chłopskiego” i „Piekielnego”. Idylla, harmo-

nia i rozkład; zachwyt i przerażenie; birbancka, wręcz karczemna, radość i wisielczy humor z Villona rodem; sowizdrzalska beztroska i sowizdrzalski nihilizm; miłość i śmierć; czułość i rozpusta; zachwyt nad życiem i widmo nicości; wreszcie rokokowo-klasycystyczna finezja formy i plebejska, siernieżna rubaszość — wszystkie te antynomie tworzą tu spłoty nierozdzielne, jakie tłumacz nie tylko znakomicie wychwycił, ale i wyraził w polszczyźnie, która w poezji swojej sprzeczności takich wyrażać dotąd nie umiała. A trzeba jeszcze dodać, że Bellman nie jest w dzisiejszej Szwecji historycznoliterackim zabytkiem, lecz poetą tak żywym i popularnym, iż każdy rodak zna go niemal na pamięć i potrafi na co dzień śpiewać (gdyż jest to poezja pisana do muzyki). Uczynić go równie, albo choć trochę, żywym po polsku? Szaleńczy zamiar tłumacza? Może, ale ja go po polsku czytam jako poetę żywego. I nucę sobie niekiedy.

Nie koniec trudności i komplikacji. I *Fredmanowe Pośłania* i *Fredmanowe Pieśni* stanowią u podstaw odmiany tzw. parodii sakralnej (gafunku rozpozszechnionego w europejskim średniowieczu, u nas prawie nieobecnym). *Pośłania* są niejako knajpianą parodią listów apostołskich św. Pawła, *Pieśni* parodiują dość często tematy biblijne. W tej parodii zaś — jak i w karczemnych wrzaskach — dźwięczy przecież stale przewodni ton przejmującego wyznania na temat doli człowieczej, człowieczej samotności, lęków i nierozstrzygniętych dramatów; i dźwięczy ton lekkiej rokokowej muzyki, zarówno pośrednio, w rytmice tekstu językowego, jak i wprost — w dołączonych zapisach nutowych.

Przed tłumaczem polskim stanęły trudności, zda się, nie do przewyciężenia. A przewyciężone. Brak w Polsce analogicznej tradycji, tj. wielkiej klasy literatury plebejskiej, która bez żenady mogłaby się pokazać i w karczmie i na dworze królewskim; i wśród włóczęgów oraz prostytutek, i wśród dam (jak się faktycznie rzecz miała z Bellmanem) — skłonił tłumacza do stworzenia takiej tradycji (i odpowiednich form artystycznych) z pewną pomocą różnych i różnocoasowych „języków” poezji polskiej, tak wykorzystanych i przetworzonych, by doprowadzić do stylistycznej jedności, nie tłumiącej właściwych oryginałowi antynomii. Dalej — zasadnicza odmienność prozodii języka szwedzkiego od prozodii polskiej, wzmocniona bezwzględными wymogami dołączonego tekstu muzycznego — zmusiła Neugera do wytworzenia w języku polskim form wersyfikacyjnych u nas nie znanych, a dźwięczących teraz tak, jakby były znane i naturalne od dawna (i dawały się „naturalnie” zaśpiewać do muzyki Bellmana). I z tego „niemożliwego” zadania Neuger także wywiązał się wirtuozerko.

Jego przekład jest filologicznie wierny a zarazem pełen swobody i wdzięku; chwilami frywolny, a jednak głęboki i wielopłaszczyznowy znaczeniowo. Neuger „spolszczył” Bellmana zachowując jego „szwedzkość”. Okazał się więc nie tylko tłumaczem-traductorem (odtwórcą, przenosicielem tekstu w innojęzyczną jego „kopię”), ale poetą i twórcą. A mianowicie twórcą w literaturze polskiej zjawiska artystycznego, które nigdy wcześniej tu nie zaistniało i zaistnieć nie mogło. A jednak istnieje. Bellman mówi po polsku, gładko, bez najmniejszych zająknięć i „obcego akcentu”. Tak jak Szkot Kettling, tyle że — w przeciwieństwie do Sienkiewiczowskiego bohatera — nie zostaje bynajmniej przebrany w kontusz.

Prezentując się jako znakomity tłumacz-poeta (i znawca muzyki), Neuger nie wyrzeka się roli uczonego filologa o szerokich kulturowych horyzontach (znac uniwersytecką szkołę profesora Wyki!). A chodzi mi w tym stwierdzeniu już nie o filologiczno-interpretacyjne umiejętności, jakie winny cechować każdego wybitnego tłumacza. Książka została opatrzona mianowicie obszernym posłowiem (oraz komentarzami), w którym autor zwięźle a rzeczowo, przystępnie a wnikliwie, mądrze a z narracyjnym polotem — przedstawia tło historyczno-polityczne i kulturowe XVIII-wiecznej Szwecji, analizuje biografię poety, przedstawia jego środowisko, dokonuje szczegółowej egzegezy tekstów, wydobywa swoiste właściwości języka oryginału i form poetyckich, mówi wreszcie o technice pracy tłumacza.

Tego posłowia nie zastąpi żadna recenzja, Neuger bowiem dobrze zna się na tym, nad czym pracuje i jako poeta, i jako literaturoznawca.

Podobnie tłumaczem-poetą a zarazem historykiem i krytykiem literatury stawiającym sobie w tej pierwszej roli zadanie na zdrowy rozum filologa z „mędrcą szkiełkiem i okiem” prawie niewykonalne — jest Neuger jako autor pierwszej polskiej prezentacji niewiele starszego od Mickiewicza, zmarłego w wieku 29 lat Erika Stagneliusa. Przekłady jego 33 wierszy ukazują tę bogatą osobowość twórczą w całym jej niewyobrażalnym wręcz skomplikowaniu. Jest to jak gdyby przemieszczenie namiętej erotyki Krasiańskiego i Tetmajera ze skrajnym ascetyzmem religijnym może XVII-wiecznych *Pieśni pokutnych* Olbrychta Karmanowskiego, z mistycyzmem i metafizyką już nie późnegołowackiego, lecz — bo ja wiem? — Sępa Szarzyńskiego, czy Zbigniewa Morsztyna? Ale przecież i to słabe przybliżenie istoty poezji tworzonej przez czytelnika gnostyków i rodaka Swedenborga. Czegoś podobnego nigdy w Polsce nie było. I zaistniało tu za sprawą tłumacza. Jako polski teraz, fakt literacki. Ze znakomitą komentarzem krytyczno-interpretacyjnym.

Tak jest i z całościowym przeglądem twórczości poetyckiej Tomasza Tranströmera (83 teksty wybrane z 10 tomików), rówieśnika Zbigniewa Herberta, uważanego nie tylko przez Szwedów, bo i przez Amerykanów oraz Niemców, za jednego z najwybitniejszych poetów współczesnych (prezentowanego dotąd w antologii Zygmunta Łanowskiego w przekładach Michała Sprusińskiego za pośrednictwem przekładów anglojęzycznych).

Ale o tych dwóch książkach może innym razem.

Teraz — na zakończenie — tylko tyle: mamy trzy różne epoki, różne tradycje, style, osobowości twórcze. I jedną twórczą osobowość tłumacza, który — będąc przecież zakorzenionym pierwotnie w innej tradycji i w innym języku — potrafi tę różnorodność objąć i przekazać bez jakichkolwiek upraszczających zabiegów ujednolicających; tłumacza-poetę czującego się na różnych historycznych i stylistycznych obszarach przyswojonego wtórnie i późno języka równie swobodnie i poniekąd u siebie, jak tłumaczeni przez niego poeci czują się dobrze w polszczyźnie. Co najlepiej oceni sam czytelnik polski.

STANISŁAW BALBUS

Warszawa, 25 grudzień
Mickiewiczowskie święto, Mickiewiczowskie święto i jeszcze raz Mickiewiczowskie święto — oto co było stałym przedmiotem rozmów w salonach Warszawy w czasie tych miesięcy jesiennych. Sprzeczne pogłoski na temat programu uroczystości, który rząd uznałby za możliwy do upowszechnienia, obiegały całe miasto, i można było mieć pewność, że jeżeli jednego popołudnia na przyjęciu usłyszało się jedną, to następnego popołudnia usłyszy się wręcz przeciwną pogłoskę — ma się rozumieć zawsze z najpewniejszego źródła...

Przed wszystkim jednak kilka koniecznych objaśnień.

24 grudnia urodził się polski wieszcz narodowy, duma i miłość wszystkich Polaków, Adam Mickiewicz. Myśl, żeby w jakiś sposób uczcić i uwiecznić jubileusz stulecia poety, była oczywiście powszechna w kraju, i, dzięki do pewnego stopnia liberalnemu ukierunkowaniu, jakie reprezentują nowy cesarz i nowy gubernator generalny, zezwolono Polakom wnieść posąg swego największego rodaka. Niezbędną sumę — 200.000 rubli — zebrano w parę miesięcy, datki napływały w takiej ilości, że sporo trzeba było zwrócić. Wykonanie posągu powierzono słynnemu polskiemu rzeźbiarzowi, Cyprjanowi Godebskiemu, i dzisiaj, 24 grudnia, zastona opadła, i rosyjska Polska uczciła swój pierwszy narodowy pomnik.

Ale jakież okres gorączkowego napięcia, gniewnego zwątpienia i niepokoju poprzedził ten dzień! Zdawało się, że trzyma się rękę na sercu całego narodu i można było wyczuć, jak to serce bije coraz mocniej i mocniej z każdym dniem, z każdą upływającą godziną. Zewsząd dało się słyszeć także i to pytanie: Jak to się skończy? Czy to przebiegnie w spokoju?

Albowiem rząd rosyjski zrezygnował na ten jeden i jedyny raz ze swej prostej, przystępnej zasady rządzenia, którą krótko i trafnie można wyrazić następująco: „nie zezwalać”, ale też tym samym, jak się zdaje, wyczerpał się zasób jego szlachetności. Odkąd zezwolił wreszcie na wzniesienie posągu, powrócił do swej dawnej metody i systematycznie negował i zakazywał wszystkiego. Henryk Sienkiewicz miał przy odsłonięciu posągu wygłosić mowę na temat Mickiewicza, lecz, jako że niezliczoną ilość razy otrzymywał manuskrypt przekreślony przez cenzurę, musiał z tego zamiaru zrezygnować. Studenci zwrócili się o zgodę na uformowanie warty honorowej: *nie dozwolena*; z różnych części Polski napłynęły zapytania, czy można wystąpić deputacje: *nie dozwolena*, czy można składać wieńce: *nie dozwolena*. Natomiast zaczęły krążyć pogłoski, że ulice mają być zamknięte kordonami wojska, że oddziały mają stać w gotowości do interwencji na pierwszy sygnał, a nawet, że nadeszły już posiłki z Petersburga.

W takich okolicznościach gniew zaczął kipieć coraz gwałtowniej i na parę tygodni przed odsłonięciem powszechny pogląd był chyba taki, że absolutnie nie należy przybyć na odsłonięcie, po części dlatego żeby darować sobie oglądanie tych znienawidzonych „moskali”, po części żeby zapobiec niepokojom.

Lecz z tego planu, jako niewykonalnego, zrezygnowano, i gdy nadszedł dwudziesty czwarty, każdy chyba uważał się za szczęśliwego, jeśli wszedł w posiadanie jednego z dwunastu tysięcy biletów — ale też, wedle tego, co wiem, niejedyn poprzedniego wieczora na wszelki wypadek napisał testament.

I to odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie było naprawdę tak osobliwą i niepowtarzalną uroczystością, że każdy z uczestników z całą pewnością musi ją uznać za jedno z tych wydarzeń, jakich w życiu niewiele i które pamięta się do końca życia.

Z góry było wiadomo, że będzie to nie ma uroczystość. Dwa utwory muzyczne, opadnięcie zastony — o! cały program. Kiedy uniemożliwiono mowę Sienkiewi-

Mickiewiczowskie święto

Ellen Sofia Wester

czowi, nawet przewodniczący komitetu Mickiewiczowskiego, książę Radziwiłł, zrezygnował z podziękowania w kilku słowach cesarzowi i gubernatorowi generalnemu za ich łaskawe zezwolenie — co oczywiście należało do pierwotnego programu.

Uroczystość miała się odbyć o godzinie dziesiątej, a już o godzinie dziewiątej i wcześniej większość wyszła z domów, by zapewnić sobie jakieś takie dobre miejsce. Ze wszystkich stron miasta nadciągały pójazdy i piesz na Krakowskie Przedmieście, gdzie wzniesiony jest posąg na otwartej przestrzeni. Oczywiście mnóstwo policjantów było w ruchu, a zarezerwowany obszar na Krakowskim Przedmieściu bardzo porządnie odgrodzono wojskiem. Wszelako nie mogło powieść, żeby „moskale” przybyli w większej ilości, niż tego wymagało utrzymanie porządku i niż by to miało miejsce w innych, bardziej uprzywilejowanych krajach niż Polska. Zachowanie mieszkańców było wzorowe — ale też w ostatnich dniach ileż się nie nakrzyżowało: spokojnie! spokojnie! — Ludzie nadciągali cicho i spokojnie jak na pogrzeb. Wszystkie okna i balkony okolicznych domów były oczywiście zajęte do ostatniego miejsca, i widziano niejednego aparat fotograficzny skierowany na ten ogromny posąg, przykryty jeszcze zastoną, i na ciemne tłumy u jego stóp.

Wreszcie po oczekiwanu, które zawsze wydaje się długie, zabrzmiały w końcu pierwsze tony muzyki — smutna, podniosła melodia polskiego kompozytora, Moniuszki — i jedna z ciemnych zaston pokrywających posąg zaczyna powoli opadać. Było to kilka wspaniałych chwil! Wśród wszystkich tych tysięcy ludzi zapanała natychmiast śmiertelna cisza; dało się jedynie słyszeć kilka szlochów. Mężczyźni odstąpili głowy i z oczyma we łzach, z drżącymi rysami — lecz niemi, ani najślabszego okrzyku — spoglądali wszyscy na postać na wysokości. Jeszcze kilka spojrzeń, ostatnia zastona opadła już i oto stanął tam w końcu Adam Mickiewicz, niepokorny, w sercu swego kraju. Lecz tym, co czyniło tę chwilę tak osobliwie uroczystą, było uczucie, że tutaj składano hołd i czczono nie tylko wielkiego i genialnego wieszczą, lecz także wszystko, za co naród polski przez te sto lat cierpiał i umierał, naród złożył pokłon temu, co w nim samym jest dobre i wielkie.

Muzyka zamilkła, kilka minut minęło w takiej samej głębokiej ciszy, po czym orkiestra zagrała triumfalnego poloneza tego samego Moniuszki — i uroczystość była skończona. Tłumy wprawiły się z wolna w ruch, po czym przypatrywano się posągowi z wielu stron, tak samo cicho i spokojnie, jak gdy się zbiera-

Co się tyczy samego posągu, to zdecydowanie nie zdobył on sympatii ogółu. Jednak coś nieskończenie nobliwego i wzniosłego spoczywa w tej zamyślonej, smutnej postaci o znanych, charakterystycznych rysach, nie jest to obraz grzmiącego, ognistego Mickiewicza — poza tym kto wie, czy cenzura nie odrzuciłaby takiego projektu? — lecz raczej marzącego mistyka. I to jest chyba w pełni uprawnione. Natomiast sam postument wydał mi się mniej gustowny ze swym kontrastem barw szarego i brązowego granitu i wymuszoną dekoracją palmową u stóp poety. Inskrypcja jest krótka i przystępna: „Adamowi Mickiewiczowi — rodacy”.

Taki oto piękny i wymowny hołd przypadł w udziale Mickiewiczowi w jego stulecie. Polski naród złożył hołd swemu największemu, wielbionemu poecie w jedyny sposób, w jaki mógł to uczynić: w ciszy i we łzach.

PS. Nawet za cenę wyłączenia mnie i mej piłki dołączam bardzo ważne *post scriptum*. Obchody stulecia nie ograniczyły się oczywiście do wyżej opisanej uroczystości. Dwudziestego czwartego po południu wydano tutaj wielki, lecz *stricte* prywatny bankiet, na który goście miasta — którzy zjechali się ze wszystkich części Polski — byli zaproszeni. Tutaj zadośćuczyniono sobie za poranne wymuszone milczenie. Mowy następowały jedna za drugą, przerywane okrzykami brawo i rzesistymi oklaskami, uczucia falowały wysoko i polskie ożywienie i rozgorączkowanie mogły nareszcie dojść do głosu. I tak samo obchodzi się w tych dniach stulecie we wszystkich kręgach w większych lub mniejszych kółkach, gdzie poprzez pieśni, muzykę, mowy i poezję daje się wyraz podziwu i miłości do wieszca narodowego, a tym samym składa się hołd temu, co sercu Adama Mickiewicza było najwznieślej i najukochańsze: ojczyźnie.

„Dagens Nyheter”, 2 stycznia 1899.

Ellen Sofia Wester donosi z Warszawy

Urodziła się w 1873 roku, zmarła w 1930. Mając dwadzieścia jeden lat publikowała już swoje tłumaczenia z pięciu języków, w tym z polskiego, którego nauczyła się sama, pod wpływem przypadkowego spotkania jakichś Polaków w drodze do Rosji, jak chce legenda, czy też pod wpływem niezwykle dla kultury szwedzkiej i polskiej zasłużonego uchodźcy politycznego po upadku powstania 1863, Henryka Bukowskiego, jak to sama wyznała. Jakkolwiek było, pozostawiła po sobie zdumiewający dorobek translatorski. Tutaj wspomnę tylko o najważniejszych jej dokonaniach: *Pan Tadeusz* (prozę) Adama Mickiewicza, *Gloria victis*, *Cham*, *Dziurdlowie*, *Nad Niemnem* Elżby Orzeszkowej, *Chłopi* Władysława Reymonta, *Włry*, *Krzyżacy*, *Pan Wołodyjowski*, *Potop*, *Bez dogmatu* Henryka Sienkiewicza, *Wodzirej*, *Sezonowa miłość* Gabrieli Zapolskiej, *Popioły*, *Uroda życia*, *Wiemna rzeka* Stefana Żeromskiego, *Złota wolność* Zofii Kossak-Szczuckiej. Dodajmy, że Rzeczpospolita doceniła jej osiągnięcia wyróżniając ją orderem Polonia Restituta.

W latach 1898-1899 Ellen S. Wester przesyłała dość systematycznie m.in. do „Dagens Nyheter” artykuły z Polski, a były to teksty świetnie napisane, pełne miłości do naszego kraju, kompetentne, zaskakujące nieraz spostrzegawczością autorki. W przeszło sto lat po ich napisaniu stanowią one niezwykle interesujący dokument.

Przełożył LEONARD NEUGER



Rycina archiwalna

Inicjacja

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

Mój ojciec nie żyje od dawna i nigdy się nie dowiem, co i jak myślał o owej jakości. Jednak tron jego moralności zdawał się raczej dotyczyć jego samego, albo też wyobrażenia, kim był, niż społeczności, która go otaczała. W konsekwencji cały szereg działań i reakcji nie dał się z nim pogodzić, zaś inne były nieomal oczekiwane. Kiedy przy wyjątkowo rzadkich okazjach zdawał sprawę ze swych motywów, względ na własną godność i honor determinował decyzję.

Czym była ta godność, tak nierozróżnialna od niego, że wolał umrzeć, niż ją utracić? Czy była jego naturą, czy wręcz naturą ludzką? W takim przypadku wielu ludzi musiało by żyć przeciw naturze, gdyż — jak to dawało do zrozumienia — wielu nie posiadało godności. Godność musiałaby tedy być rodzajem powołania, którego trzeba wysłuchać albo go zaniechać, które się zdobywa — lecz które można utracić.

Dużo później zrozumiałem, że ta koncepcja godności nie była całkowicie chrześcijańska. Dla katolików wszyscy ludzie są istotami z natury wyposażonymi w *dignitas*, zupełnie niezależnie od tego, czy im na niej zależy, czy też nie. Także luteranie mogą myśleć podobnie, byle tylko nie traktowali Lutra zbyt serio (mam na myśli fragment „Rozmów przy stole”, gdzie deklaruje gotowość, by własnymi rękami topić kaleki, idiotów i innych upośledzonych. Są oni dla niego niczym więcej jak nieforemnym kawałkiem mięsa).

Z uwagi na kogo protestowałem zatem w Beckomberdze tym razem? Czy była to godność staruszków, którą próbowałem ochraniać, czy było to coś u mnie samego? Niełatwo rozstrzygnąć. Lecz pamiętam, że robiłem, co się tylko dało, by pogwałcić godność towarzyszy pracy. Nie było to całkiem łatwe, jak się okazało. Nie wiedziałem na przykład, jak słowo, którego szukałem, brzmi po szwedzku.

Tym słowem był *cham*. Tak się nazywa kmiotek w najcodzienniejszej polszczyźnie. Gdyby mi się udało cisnąć *chamem*, efekt byłby natychmiastowy i miażdżący. Szczeniak z gumowym szlauftem zastygłby w kontemplacji własnego prostactwa, najgłębsza zaś treść mego sprzeciwu stałaby się jasna dla każdego. Tego byłem pewny. Obecnie wiem, że słowo kmiotek, najbliższe polskiemu słowu *cham*, nie posiada takich jakości. Jest bezżebne i płytkie, i pozbawione egzystencjalnego patosu. Do tego jest na wymiarciu, jednostronnie nacechowane klasowo, z tym swoim rdzeniem w „kmielcu” niechętnie jest używane przez wnuczęta kmielci. Co innego ze słowem *cham*. Jest także nacechowane klasowo, ba, nawet u swych źródeł rasistowskie, lecz obecnie stanowi własność wspólną. Jest ciężkie i trafne, razi celnie i z ogromną mocą.

Cham sam w sobie nie oznacza niczego, jest imieniem: *Cham*. Dwóch braci miał *Cham*, *Sema* i *Jafeta*, *Noe* zaś był ich ojcem. W Pierwszych Księgach Mojżeszowych (9:25) *Cham* przeklęty jest przez swego ojca. A potomstwo jego liczne będzie, lecz skazane, by służyć synom braci swoich. I tak, też się stało, przynajmniej w XVI-wiecznej Polsce. Szlachta feudalna uznała się mianowicie za potomków *Jafeta*, podczas gdy poddani — *chamy* — mieli *Chama* za protoplastę, dziedzicząc także jego usposobienie. A zatem słowo zabarwione klasowo, jak kmiotek, *villain*, *cad* i niemiecki *Tölpel*, lecz obdarzone szczególną głębią.

Ale cóż ten *Cham* takiego uczynił? Zadarzył mu się oglądać swego ojca w stanie zwinionego przez siebie poniżenia. *Noe* upiwszy się winem legł w na-

miocie swoim nagi i odurzony. Pierwszym odruchem *Chama* było wyblec i powiadomić braci swoich o tym, co zobaczył. To, co początkowo było wrzeniem wzrokowym, sprawą między *Noem* a *Chamem*, teraz ubrane zostało w słowa i pogłębia pohańbienie ojca. *Sem* i *Jafet* reagują inaczej. Spieszą by nakryć nagość ojca, a czyniąc to wręcz odwracają wzrok. Nie z lęku przed zgorszeniem tym co mogliby zobaczyć — lecz by oszczędzić *Noemu* jeszcze większego wstydu. Można by powiedzieć, że *Sem* i *Jafet* bronią godności *Noego* przed nim samym, lecz przede wszystkim przed *Chamem*, który dowodzi, że nie pojął, co godność oznacza.

Być bezbronnym, dzieciniałym i unieruchomionym, utracić kontrolę nad funkcjami swego ciała, jest bezsprzecznie sytuacją, gdzie trudno zachować godność. Moi towarzysze pracy zaś zachowywali się naprawdę jak potomkowie *Chama*, dokładali kamieni do brzemienia, czynili to, co już było złe, podwójnie złym. A ja interpretowałem ich postawę, że oni, podobnie jak *Cham*, nie wiedzą, czym jest godność, że brakuje im autorespektu i, w konsekwencji, nie są zdolni do szanowania bliźnich. Zdecydowałem się pojmnąć ich *chamstwo* jako nieokresanie, jako zapóźnienie kulturalne związane z barbarzyństwem i ularowaniem terenu. Oni, myślałem, jeszcze nie nauczyli się nowoczesnych obyczajów, ich dusze są jeszcze niewolnicze. Jakoś mi wtedy nie przyszło do głowy, że mogło być odwrotnie, że to ich obyczaje były nowoczesne, a moja reakcja reprezentowała historycznie przezwyciężoną kulturę.

Moja ówczesna reakcja była — z tego obecnie zdaje sobie sprawę — mocno powiązana z określoną kulturą, niepraktyczna, a nawet — przy pewnej nieszczególnie rzadkiej interpretacji — niedemokratyczna. Domagałem się trwoniienia czasu i szacunku dlatego, że tak należy. Ani nie umiałem, ani nie chciałem bronić mego stanowiska, gdyż w tym samym momencie, w którym powołałbym się na jakąś jego wyższą rację, niewątpliwie to co bezsporne i absolutne w moim imperatywie. Argumentuję się w problemach spornych, a to nie było dla mnie w żadnym wypadku czymś takim. Moja postawa opierała się na wierze, wprawdzie lalkowej, niemniej jednak było to przekonanie, że pewne wartości dzielone są, lub przynajmniej powinny być podzielane przez wszystkich. Byłem — by przywołać słowo, które wtedy właśnie było w użyciu — zaindoktrynowany.

A moi towarzysze pracy, co wynikało z późniejszych badań, nauczyli się w szkole, że demokratyczne i zdrowe społeczeństwo zasadza się na tym, że obywatele są racjonalni, czyli nie biorą tego, czego nie da się udowodnić, za dane. To, że wszyscy są gotowi przyjąć pryncypium rozsądku, stanowi przesłankę, by różnice zdań nie rozdeły się do niemożliwych do pogodzenia konfliktów, co z całą pewnością się przytrafiło, gdy ludziom się zdaje, że mają absolutną prawdę, Boga, historię, walkę klas, czy naturę po swojej stronie.

A zatem pielęgniarze w Beckomberdze byli oświeceni. Lecz tylko do pewnego stopnia, i w tym tkwił cały problem. Ich oświecenie zaszło dość daleko, by przy pomocy rozsądku (czy reguły większości) mogli zakwestionować jakikolwiek obyczaj, religię czy moralność. Przynajmniej w teorii. W praktyce kwestionowali tylko te obyczaje, które akurat wydały im się niepraktyczne, kosztowne, czy zbyt zobowiązujące. Lecz nie byli dość oświeceni, by przejrzeć konsekwencje swego oświecenia.

Przełożył LEONARD NEUGER

Moje miasta

z Ritą Tornborg

rozmawia LEONARD NEUGER

Zacznijmy od przypomnienia kilku faktów z twojej biografii. Urodziłaś się w Johannesburgu, w Południowej Afryce, po czym z rodzicami pojechałaś do Szwecji. Opuściłaś Szwecję mając bodaj sześć lat i wyjechałaś do Warszawy, gdzie odebrałaś wychowanie u Sióstr Niepokalanek...

W Warszawie i w Szymanowie...

Gdy miałaś lat kilkanaście wybuchła wojna i Niemcy kazali twojej matce i tobie opuścić Polskę; jako obywatelki szwedzkie otrzymałyście nakaz powrotu do domu. W wieku mniej więcej szesnastu lat zaczęłaś swój pobyt w Szwecji. Najpierw obracałaś się głównie w środowisku polskim, ukończyłaś polskie gimnazjum...

W którym nauczali tacy ludzie jak Falejewski czy ojciec Andrzeja Szczypiorskiego...

Potem zostałaś laborantką, rozpoczęłaś pracę w klinice karolińskiej, czyli weszłaś głębiej w środowisko szwedzkie. Wtedy też wyszłaś za mąż za Szweda...

Sama jestem pół Szwedką, pół Polką...

Potem zaczęłaś się twoja pisarska droga. Debiutowałaś stosunkowo późno, jeśli chodzi o wiek biologiczny; jeśli zaś chodzi o wiek emigranta, czyli człowieka-przybysza żyjącego w Szwecji, w samą porę; i wydałaś dotąd siedem powieści. Powieść *Imieniny Salomona* ukazuje się właśnie w Polsce wydana w Oficynie Literackiej. Można powiedzieć, że *Imieniny Salomona* są powieścią o Sztokholmie. Czy to jest jakieś twoje szczególne miejsce, Sztokholm?

Wiesz, Sztokholm to jest taka macica, wielka, kamienna macica, z której ja się co dzień rodzę. Kiedyś tą macicą była Warszawa. I jak mnie ta macica-Warszawa wypchnęła, poczułam się taka... polskie słowo zdaje się „niedonoszona”. Mniej więcej w siódmym miesiącu... Więc na gwałt szukałam wtedy innej macicy. I to miasto mnie przyjęło. A miasto w ogóle jest dla mnie najwyższym szczytem kultury człowieka. Ja bardzo kocham tak zwaną wieś i naturę, ale dla rozwoju człowieka miasto jest czymś niezbędnym, jest piękne i życiowe... Lubię trójwymiarowość miasta. A Sztokholm? Sztokholm to jest trudne miasto. Nie przyjmuje cię tak bez twojego wysiłku. Ale w końcu cię przyjmuje. Możesz to miasto... jak się to po polsku mówi: ujeżdżić?... co się robi z dzikim zwierzęciem?

Oswoić, udomowić...

Właśnie, oswoić. Więc wydaje mi się, że oswoiłam Sztokholm.

A Warszawa? Jaką ona pełni rolę w twoim życiu, także pisarskim?

Warszawa jest szalenie ważna, Warszawa to jest źródło wszystkiego. I to wcale nie chodzi o samą „polskość”. Opuściłam Warszawę mając piętnaście lat i czuję się od tej pory rozszczępiona, schizofrenicznie rozszczępiona na jedną warszawską i jedną sztokholmską część. Nawet nie polsko-szwedzką, lecz właśnie warszawską i sztokholmską, bo miasto jest dla mnie ważniejsze niż kraj.

W *Imieninach Salomona* pojawiają się oba miasta. Sztokholm jest głównym i zasadniczym miejscem akcji, tylko jeden z jej fragmentów toczy się w Warszawie. Ale są różnice w ujęciu tych obu miast. Na próżno szukałibysmy w opisie Sztokholmu głównych jego ulic i pryncypalnych placów. A w Warszawie pokazujesz jej najważniejsze budynki...

Nie wiem na pewno, dlaczego tak robię. Tak działa moja intuicja pisarska. To mi było potrzebne i to było najtańsze. Na przykład ten hotel „Victoria”. To pokazywało nastawienie Szweda do Polski. „Popatrz, jakie to śliczne, jakie nowoczesne”, mówiono. A naprawdę kto przyjeżdżał do tych hoteli,

jak się w nich płaciło? To wszystko jest ważne i wiele mówi o dzisiejszej Polsce...

Ale w twoim Sztokholmie nie ma głównych ulic. Są wyburzane zaułki. I są ludzie w jakiś sposób wyburzeni, wyburzeni...

Widzisz, ja się z tym nie bardzo mogę zgodzić. Ty wciąż podkreślasz, że ja piszę o ludziach marginesu, a ja wcale ich za takich nie uważam. Ja ich uważam za ludzi przyszłości. To są ludzie ogromnej inteligencji, pełni energii i namiętności, którzy z tego biednego życia coś usiłują wybudować. Uważam tych ludzi za bardzo ważnych, oceniam ich pozytywnie. A że oni są troszkę biedni, troszkę nieuczciwi, że nie są jeszcze uplasowani w społeczeństwie szwedzkim, to wcale nie znaczy, że oni są ludźmi marginesu. Oni mają pewną ideologię; to jest ideologia przeżycia w jako tako porządnym sposób, budowania czegoś. Poza tym ja lubię takie niewyraźne zony w życiu, w mieście. Lubię przedmieścia — chwasty, ruiny, pozostałości dawnego i zaczątki nowego. Takie „pomiędzy”. Tam jest masa możliwości. I ci ludzie to jest też takie „pomiędzy”: coś idzie na dno, coś się wznosi, ale coś z tego wynika. To jest żywotne. I w tym sensie pozytywne.

Ale ja z tobą chodziłem też po Krakowie. I albo chodziłaś po Krakowie tam, gdzie ja chciałem, i wtedy to był Wawel i różni kochani i ważni ludzie. Ale jak tylko spuściłem cię z oka, to ty mi uciekałaś gdzie indziej. Pamiętasz, co najbardziej przyciągało twoją uwagę w Krakowie?

Nie...

Bramy.

Tak, bramy! Piękne krakowskie bramy z różnych okresów. Od Jugend — jak to się tu mówi — secesja? Więc secesyjne, nowoczesne i te bardzo stare. Dlaczego bramy? Może dlatego, że to jest otwór. Wciąga i łączy. Także zamknięcie. Poza tym nie tylko bramy. Ja mam piękne zdjęcia z Kazimierza. I to nie są te standardowe, turystyczne miejsca. Wiesz na przykład, gdzie jest ulica Ciemna?

Nie...

Ja wiem. Ulica Ciemna jest jakby po drugiej stronie tego placu na Szerokiej, gdzie jest odbudowana bóżnica. To są domy po części już w rozpypce, a po części — co jest takie piękne — już odbudowane. Niektóre mieszkania są tam na nowo zamieszkane. Widać po oknach: świeże nowe okna. Z jednej strony rozpypka, z drugiej coś nowego zaczyna rosnąć. To jest cudowne. To jest to, co tak lubię. To jest moje.

Pamiętasz dom, w którym mieszkałaś?

Dom, w którym mieszkałam? Oczywiście. Nie podam adresu, by ktoś się nie obraził. Nie wiem kiedy był budowany. Trochę bauhaus — coś w tym stylu, charakterystyczna wysoka klatka. A na klatce — piekło. Małe piekło, choć piekło poskromione, nikogo nie przerażające. Ale dla dobrego ucha łatwo uchwytne. Gdy się naciskało na guziczek zapalający światło (naturalnie trzeba go było długo szukać), była chwila ciszy, a potem zaczynały szeleścić biesy. Nie powiem dlaczego. Ale to było właśnie szczekanie biesów. Diabelski odgłos, który cię prowadził aż na najwyższe piętro, gdzie mieszkałam. To było coś wspaniałego i przerażającego. Jakieś *memento mori*. Coś, czego w życiu nie zaznałam. A tu — taka codzienność. Nikt na to nie zwracał uwagi, na to wycie biesów z piwnic...

Dziękuję ci za rozmowę.

GALERIA „DEKADY”



Fot. Woody Ochm

Bez tytułu, olej (100 x 140)

Maria Marzena Hordyj

Marie Marzenę Hordyj spotkałem po raz pierwszy w 1985 roku. Miała już za sobą ukończone studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W 1982 roku postanowiła z niewiadomych dla mnie i chyba siebie samej powodów osiedlić się na stałe w Szwecji, gdzie walczyła dzielnie o zaistnienie artystyczne najpierw studiując, a potem zajmując się grafiką eksperymentalną jako wykładowca na Wyższej Szkole Artystycznej w Sztokholmie. W latach osiemdziesiątych miała kilkanaście wystaw indywidualnych (by o zbiorowych nie wspominać) przede wszystkim w Szwecji i Niemczech. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych otrzymuje między innymi stypendium miasta Sztokholmu i stypendium Stowarzyszenia Grafików Szwedzkich, do którego Zarządu w 1988 roku zostaje wybrana. Bierze często udział w międzynarodowych imprezach plastycznych. I tu wspomnieć warto o Biennale Grafiki w Krakowie, Triennale w Szwecji, Grafika Creativa w Finlandii czy wystawie grafiki szwedzkiej w Reykjaviku — Islandia.

Pomijając szwedzkie, niemieckie i polskie zbiory prywatne, twórczość Hordyj prezentowana jest w zbiorach Muzeum Narodowego w Sztokholmie, Muzeum Sztuki w Göteborgu oraz Państwowej Rady Sztuki i innych instytucjach na terenie całej Szwecji. W Polsce najprościej sięgnąć po książkę Carla Michaela Bellmana „Fredmanowe Posłania i Pieśni”, którą w 1991 roku wydało Polskie Wydawnictwo Muzyczne, by zapoznać się z graficznym kunsztem Marii Hordyj (choć radzę obejrzeć oryginały, na których zachowane zostały kolorystyczne i techniczne niuanse jej akwafort i akwatint). Z grafik do tekstów Bellmana powstała wystawa, która objechała z dużym sukcesem całą Szwecję. Obecnie artystka pracuje nad serią „Mał mistrzowie”, w której używając technik metalowych wykorzystuje między innymi motyw Rembrandta. Ale, jak wspominałem, Marzena jest nie tylko grafiką, choć w jej olejach odnaleźć można dużo graficznego myślenia i sporo wyraźnych, przeniesionych z techniki rysunkowej tropów. Rozpoczęła niedawno dwa cykle obrazów olejnych z których jeden nosi tytuł *Dziennik a drugi Autoportret*. Poczucie zagubienia, bezsensu i nicości sąsiaduje w nich z przekorą i wyzwaniem. Używa tutaj szarociemnej palety, a jej postaci mają charakterystyczne, wyraźnie zaznaczone kontury. To jednak znak ich słabości, nie siły — jakby potrzebowały „grubej skóry”, by wytrzymać napór zewnętrznego świata i ciśnienie własnych problemów, wśród nich także problemów seksualności. Pojawiające się często atrybuty płci nie dominują jednak, gdyż ich symboliczność odwołuje od cielesności i skłania do myślenia o seksie jako jednym z wyroków natury. Malarstwo Marii Hordyj rozpięte jest zatem między wartościami absolutnymi a biologią, między *sacrum* a *profanum*. Symboliczna jurność i prowokacyjne wyzwanie sąsiaduje tutaj z niedoskonałością i kruchością ludzkiego istnienia.

JANUSZ KOREK

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

— zgoda, lecz jest to dziewczynka śmiertelnie ugodzona. Nie, nie tylko w biografii, w poezji Södergran!

Więc może pierwszą formułą kobiecości poetki jest poczucie relegowania dzieciństwa z krainy baśni, czy bajki dziecięcej? Dziwna to relegacja, bo metafizyczna. Kobieta odchodzi z baśni, bo musi, bo taka jest jej podstawa bytu, bo „uparte i zimne stało się” jej serce, odchodzi wbrew woli — „siostrzycki, zatrzymajcie mnie — nie chcę od was odejść” (*Pożegnanie*). Dokąd odchodzi? Tu odpowiedzi jest wiele. Przede wszystkim do mężczyzny, później do Siostry. Porzucając nieograniczone obszary dzieciństwa, dziewczęcości, dostaje się w zamknięty krąg Erosa, ognia, zniewolenia — staje naprzeciw światu męskiego. To względem tego właśnie świata będzie się definiować. To wobec niego odczuje swoją inność i obcość. Stąd poezja Södergran tak chętnie operuje paradoksami, opozycjami, kontrastami. Świat zimny, bez wiary, pański, obojętny, bezwzględny i świat kobiety: gorący, pełen ognia, czuły i tęskniący za czułością, korzący się. W niektórych wierszach próbuje poetka zbudować ten świat kobiecy bez bezpośrednich odniesień męskich; także i wtedy metafizyka kobiecości konstruowana jest jako łańcuchy sprzeczności; są to jednak także cechy kobiety

dla mężczyzny. Bywają te wiersze wielkim oskarżeniem tego, co męskie, bywają przekleństwem losu kobiecego. Częściej jednak są wyrazem wyzucia, izolacji, relegacji właśnie. Bo kobieta Södergran odchodzi z przymusu, niejako wbrew woli. I wiersze te odczytywać można jako wyraz bólu nadkruszonej woli, odbudowywania nadszarpniętej godności, tęsknoty za utraconą pełnią mitu (dzieciństwa, dziewczęstwa, itd.).

Jednak tym, kto odrzuci kobietę nie jest zawsze mężczyzna. W późniejszych wierszach dość podobną rolę odgrywa „Siostra”. Jest to ktoś, w kim podmiot tych wierszy pokłada nadzieję na spełnienie, uciśnienie napięć, głodu życia, samotności. To za ich pośrednictwem, mężczyzny i „siostry”, kobieta styka się z rzeczywistością, to za ich pośrednictwem kobieta postawiona zostaje twarzą w twarz ze śmiercią. Relegacja z dzieciństwa staje się relegacją z życia, albo przeciwnie. To w tym paśmie interpretacyjnym pojawia się pokusa biografizmu. Ale pamiętamy, że spotkanie z mężczyzną było naruszeniem godności kobiety, było zamachem na jej wolę. Śmierć jest tu zatem także znakiem ubezwłasnowolnienia, tego samego wyzucia, relegacji. Wyzwała tęsknotę za pełnią, mitem, spełnieniem. Eros jest tu tyle bogiem miłości, co i życia. Dajmy: bogiem okrutnym. To napięcie między życiem i śmiercią (chorobą, umieraniem); mitem i wydziedziczeniem, byciem i rzeczywistością urasta u

Wydziedziczona

Södergran do niezwykle intensywnej potrzeby ocalenia swej woli. Kobieta staje się gigantycznym nosicielem podrażnionej woli. Stąd Schopenhauera patronującego jej *Wierszom* z 1916 roku rychło zmienił Fryderyk Nietzsche. Stąd symbolizm płynnie przejdzie w ekspresjonizm; tęsknota — w ekstazę.

Ale, można powiedzieć, że tak też układało się życie poetki. Rewolucja bolszewicka zniszczyła materialnie rodzinę. Akcje na Ukrainie zmieniły się w makulaturę. Raivola — z idylli wakacyjnej — w nędzną rudę, życie światowe w vegetację na zabitej deskami prowincji, samotność imaginatywna — w skrajną izolację. Poeci polscy wyjeżdżali w świat z prowincji, pozostawiali za sobą arkadyjskie centra świata i budowali ich mitologiczne substytuty. Södergran zostaje ze świata wywłaszczona i osadzona na prowincji. Nie tylko nie było jej odtąd stać na podróże zagraniczne, w tym niezbędne jej — kuracyjne — nie stać jej było na podróż do Helsinek na spotkanie ze skromnym kółkiem modernistów; nie stać było na jakie takie wyżywienie. Tego w jej poezji nie ma: ale poezja ma jej przywrócić godność, ma podbudować jej wolę. Całą swą istotą łączy do mitycznej

wspólnoty, do zbierania się z wybranymi ludźmi (arystokratyzm dość długo będzie znamieniem jej wizji świata). Hagar Olsson stanie się wymarzoną „siostrą”, snem o komunii dusz, o porozumieniu i miłości między ludźmi wybranymi. Staje się nowym katalizatorem kłeski. I raz jeszcze baśń wyzuwa ją ze swej pełni.

A jednak ta poezja kończy się szczęśliwie. Ostatnie wiersze poetki, te które później zamykały tomik *Kraj, którego nie ma*, niosą ukojenie. I są dla piszącego te słowa czyste i piękne. Wejście, powrót do baśni otwiera śmierć. To ona śpiewa melodię, kołysankę słyszaną na brzegu Hadesu: „nam nigdy żadna niania / tak jak ty nie śpiewała” (*Przybycie do Hadesu*). Krajobraz kraju rodzinnego otwiera się przed nią (*Powrót do domu*) i przyjmuje ją. Pełnia jest odzyskana, tęsknota do kraju, którego nie ma, ugaszona, Bóg odnaleziony we wszechrzeczy, w najdrobniejszej drabinie istnienia, baśń — wcielona. To nie są martwe formuły. Miała 31 lat. Była młodą, ładną kobietą. Wiedziała, że umiera. Umierała naprawdę.

LEONARD NEUGER

DEKADA LITERACKA

— dwutygodnik kulturalny. **Wydawca:** Krakowska Fundacja Kultury, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. **Adres redakcji:** ul. Kanonicza 7. **Redakcja:** Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran (sekretarz redakcji), Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas. **Współpracują:** Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. **Skład i łamanie:** Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Kraków, ul. Wielopole 1. **Druk:** Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: kwartalna wynosi 55 000 zł, półroczna 110 000 zł, a roczna 220 000 zł; za granicą kwartalna wynosi (licząc w dolarach USA) 10\$, półroczna 20\$, a roczna 30\$.

Wpłaty prosimy dokonywać na: **Krakowska Fundacja Kultury, Kraków, Bank Przemysłowo-Handlowy, IV Oddz. w Krakowie — nr 323415-709987-132-3**

ISSN 0867-4094

Plucie

Anders Bodegård

Gombrowicz — chłoszczący:

Kiedy Gombrowicz w drugim tomie „Dziennika” tryska na temat dorostej i dojrzalej ludzkości, którą obserwuje na plaży w Necoche, brzmi to tak:

„Na piasku zabawki, dowcipki, figielki — ale gorzko, strasznie opłacone tym, że oni musieli się rozebrać! Cynizm niesłychany! Ta ich zabawa to akt rozpaczliwego bezwstydu, akt, odważyli się na to... rozebrali się... zdjęli obuwie, skarpetki, pończochy, majtki, kałesony, spodnie, krawaty, koszule, bluzki, marynarki... i hejże ha!... zbratani z naturą, figlują sobie na golasa! Ale ten golasa nie nagi, tylko rozebrany! Co za bezczelność! Tak, tak, figluje żona tego aptekarza, patrzcie ją, nóżką w piasku grzebie, pięta jej, obnażona, wystaje, wylazi — i figluje szef działu sprzedaży, kopie balon, sapie, wykrzykuje! Ha, używanie na całego! Na golasa! Ale golasa rozebrany, obnażony! I rozebrany szef! Aptekarzowa bez majtek! A palce u nóg dziko uzupełniają palce u rąk! I cała plaża ryczy wściekłą prowokacją cielesnej ohydy. Boże, dozwól mi wymiotować kształt ludzki! Pies się ukazał. Pies, który — niepokalany — przyszedł z wykwintem psim — dystyngowany...”

Dwie sceny z życia ulicznego w Sztokholmie:

Kurdowie demonstrują w czasie wojny irackiej. Gęsty i gniewny pochód idzie Sveavägen w kierunku Kungsgatan. Z ujęcia metra wypada nagle skinhead, kuśtykając. Rozpina spodnie, staje i sika warłkim strumieniem w stronę demonstrantów.

Na Vegagatan, gdzie mieszkam, jest opluwaczka. Na pierwszym piętrze nad wejściem do Folkets bio (kino — L.N.) okno jest na ogół otwarte. Leży tam poduszka, a o nią stara kobieta w zielonym turbanie, spoglądając na ulicę, opiera łokcie. Vegagatan jest spokojna, nic takiego tam się nie dzieje. Ale, jak ktoś nadchodzi, to ona pluje. A jak nikt nie nadchodzi, to niekiedy pluje i tak. Na chodniku pod oknem utworzył się szeroki krąg plam od płwocin.

Co obskiewicz ze Sveavägen chciał powiedzieć, dość łatwo zgadnąć, ale co opluwaczka z Vegagatan ma na myśli, jest bardziej zagadkowe: jak się zdaje, stanowi to przeciwieństwo tego, co robi; ona mianowicie pluje na cały świat, ale z uśmiechem, jak gdyby chciała nawiązać kontakt.

Cóż to takiego, lżyć i urgać. Jest to tak, jak by dać komuś konew zwymyślań, oblać kogoś do suchej nitki wyzwiskami, przelać się na coś — a więc płyn — opluć coś, rzygać żółcią. A słowa płyną, prą, wytryskają kaskadami. Najlepiej lub najgorzej jest z cieczami ciała (jeśli pominąć łzy).

Kiedy tłumaczę „Dziennik” zwykle czuję to tak, jakbym stał przed problemami meteorologicznymi: chodzi tam o stałe zmiany temperatury i siły wiatru; wszystko jest nieobliczalne jak pogoda. I Gombrowicz łącząc i urągając jest opadem: ulewy, gradu, niekiedy upartej mżawki.

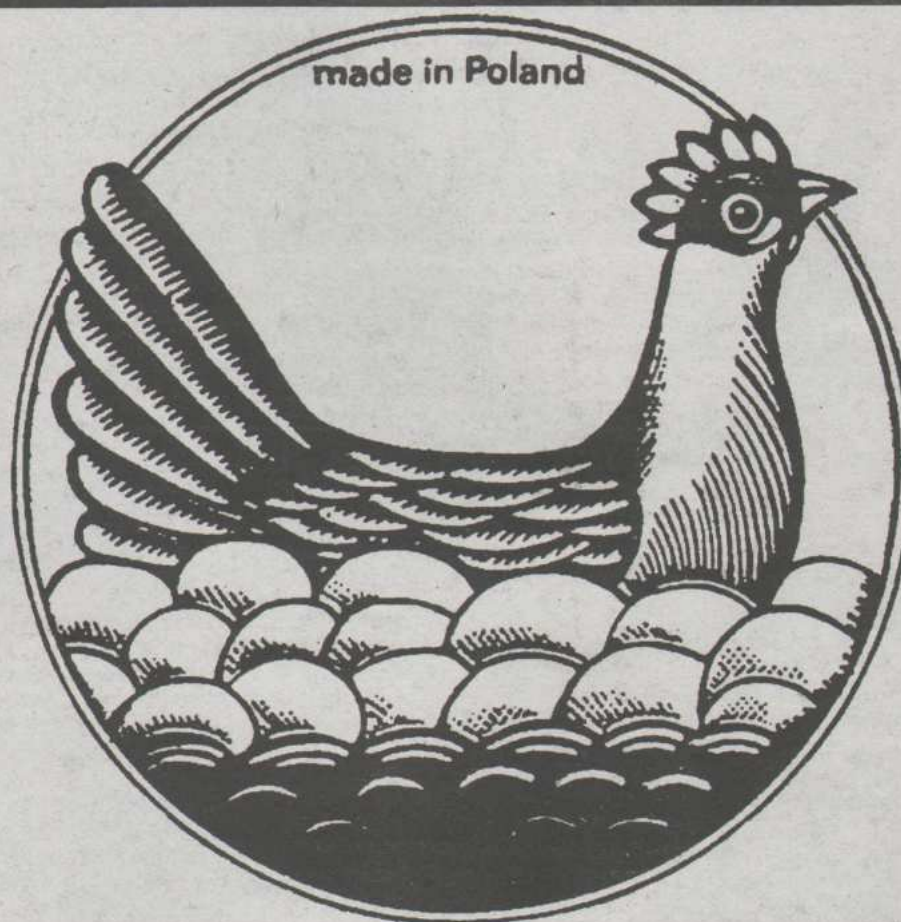
Czy ten deszcz przemoczy mnie jako czytelnika-tłumacza? Czy poczuje się oplutym, obsikanym? To się chyba może zdarzyć, lecz jeśli będę mu towarzyszył, to i ja zapadam deszczem, plunę, obsikam. A chodzi tu o wybranie właściwego płynu, wymierzenie odpowiedniego zdania i dobre wycelowanie!

Teraz Gombrowicz to już nie pisarz... z wiatrem. A wiadomo, jak to jest, gdy się pluje pod wiatr — lub sika. Czy Gombrowicz moczy się sam? Tak.

Jest coś paradoksalnego u Gombrowicza: z jednej strony przez cały czas rozrabia; prawie nigdy spokojnej chwili, to wywija się w górę, to ciska się w dół, waha się między powagą a drwiną. Ale tak naprawdę to poszukuje on przeciwieństwa napięcia — doskonałości: chce znaleźć to co w półgotowe, wpółdane, przeciętne, to co „pośrodku”, to co ludzkie.

Przełożył LEONARD NEUGER

TEATRZYK RYSUNKOWY



HYDE PARK CZYTELNIKÓW

Już dawno nie mieliśmy takiego kłopotu z wyborem wiersza do naszej rubryki! Oto poeta krakowski, LESZEK WÓJCİK, nadesłał nam — wraz z życzeniami, za które serdecznie dziękujemy — sporą garść naprawdę dobrych wierszy, spośród których wybieramy jeden (a chciałoby się dużo więcej). Czytelników odsyłamy do książki, w której znajdzie się ten utwór, tomu Nazywanie, mającego ukazać się nakładem Wydawnictwa MINIATURA.

Leszek Wójcik

już w szkole rozczarowanie:
Tales i Pitagoras wyprzedzili mnie
w tworzeniu twierdzeń geometrycznych

więcej: prawa istniały
przed narodzeniem mędrców
Kolumb nie stworzył Ameryki
wzorcowe atomy budowały ciało Bohra
nazwanie nieznanych roślin i zwierząt
niczego w nich nie zmieniło

nie napisałem wiersza

Witold Turdza odkrywa nieznane arcydzieła

Dwa lata temu wydano Fredmanowe Postania i Pieśni Carla Michaela Bellmana w tłumaczeniu Leonarda Neugera. Jest to zaledwie część utworów poety. Tłumacz w postłowie wyraża nadzieję na wydanie ich kiedyś w całości. Wolno jednakowoż mniemać, że jeszcze nie wszystkie są znane, bowiem nie tak dawno, w niezwykłych zresztą okolicznościach, odnaleziono rękopis Fredmanowego Postania nr 83. Znalaziono go w... butelce, która nie wiadomo od jak dawna tkwiła zaryta w piasek wydmy na Helu. W czasie sztormu fale rozmyły wydmy i wtedy wychynęła z niej butelka. Kto, kiedy i dlaczego wrzucił ją do morza, tego nie dowiemy się chyba nigdy. Pewne jest tylko to, że badacze tego Postania nie znają. Ale ciekawszy jest fakt, że znał je Mickiewicz, który dość dobrze władał szwedzkim i interesował się poezją nieodległego przecież kraju, czemu dał wyraz w swoich wykładach w Collège de France.

Wyraźny ślad tych zainteresowań widać w Pieśni Filaretów. Słynne, często cytowane słowa jej początku są cytatem Bellmana! I to właśnie cytatem odnalezionego Postania, które zaczyna się tymi samymi słowami. W utworze Mickiewicza (odmiennym w budowie) jest więcej sformułowań wyraźnie przejętych od szwedzkiego poety, co rzuca zgoła sensacyjne światło na twórczość wieszczą. Badanie tych zależności przyniesie z pewnością wyniki ciekawsze niż, modne ostatnio, badanie procentowej zawartości jego nieryjskiej krwi.

Na koniec trzeba jeszcze przypomnieć, iż odnalezione Postanie zostało napisane, jak wszystkie pozostałe, do muzyki. Bellman wykorzystał arię z ogromnie popularnego w jego czasach, francuskiego wodewilu Cortège du Bacch Adriana Buveura, wystawianego w Sztokholmie bodaj dwukrotnie za jego życia.

CARL MICHAEL BELLMAN Postanie. Do świata, co się tyczy miary

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz!
Ojciec Berg, pieśćcie bas,
już z flachy Bakcha kwas
w gardzielach spragnionych bulgota.
Tnijcie skrzypceczki, (vello...)
sięgaj do beczki, (vello...)
grajku! raźniej rozkołysz swój tryl!
Patrz, wenusine córeczki —
kapłanki tych słodkich chwil —
już w kapryjoliach trzęsąc cyckami
płasają, ach szelmy, z nami.

Ten się do kumpli liczy,
ma także wdzięk i szyk,
kto w szynku umie w mig
za łykiem wychlać łyk
i co? — Kufla sobie znów życzy.
Niech mnie pokręci, (corno...)

jak nie mam chęci (corno...)
zwlizć gardło — i wszystkim żem rad.
Cóż, oczy przymknijcie święci,
bo Ulla wypięła zad.
No, chlup za Ulleczkę Winbald. Do dna!
Dla przyczyny tej, że godna.
Głowa cięża jak gar. Uf, —
kielich w piachu się skrył.
Trochę za tęgim pił,
no, bom nie wedle sił
mierzył — jedno podług zamiarów.
Pyszna zabawa: (corno...)
newtońskie prawa (corno...)
uparcie w błoto pchają mi twarz.
Hej! Micho świata koślawa,
dokąd, do szynku tak gnasz?
Świat jak Greki się bawi. Micyje!
A jak Polak, widać, pije.